

Zarząd Główny ZNP oraz redakcja składają wszystkim Koleżankom i Kolegom najserdeczniejsze życzenia świąteczne

PROLETARIUSZE
WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!



CENTRALNY
ORGAN ZNP

Głos Nauczycielski

TYGODNIK SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

Rok XLVII, nr 15 (1366)

Warszawa, 14 kwietnia 1963 r.

Cena 70 gr

O ochronę autorytetu zawodu nauczycielskiego

Władysław Ozga

wiceprezes ZG ZNP

W PROCESIE wychowania pedagogika socjalistyczna wyznacza nauczycielowi kierowniczą rolę. Od nauczyciela w głównej mierze zależy kształtowanie cech niezbędnych dla przyszłych budowniczych socjalistycznego ustroju. Jeszcze na wiele lat przed Rewolucją Październikową, Włodzimierz Lenin pisał, że o poziomie szkoły i znaczenie nauczyciela w dziele wychowania młodych pokoleń legł u podstaw myśli pedagogicznej teoretyków wychowania w ZSRR, a w szczególności wybitnego działacza partii komunistycznej i państwa radzieckiego — M. Kalini-

na. W Polsce, w sposób znakomity, acz z pozycji filozofii idealistycznej scharakteryzował osobowość nauczyciela, jako edena z pierwszych, J. W. Dawid w pięknym studium „O duszy nauczyciela” (1912 r.). Wiele miejsca w polskim piśmiennictwie pedagogicznym poświęcił nauczycielowi znany pedagog okresu międzywojennego — Władysław Spasowski. Wzór osobowy nauczyciela, według Spasowskiego, to nauczyciel wyzwolony, czyli wolny od przesądów religijnych, klasowo-społecznych i filozoficznych światopoglądu burżuazyjnego, czujący i myślący zgodnie z naukowym poglądem na świat i życie. Spasowski stał na stanowisku, że na żadnym polu działalności społecznej zalety umysłu, serca i charakteru pracownika nie mają takiego znaczenia, jak w zawodzie nauczycielskim. Nauczyciel nie ma być człowiekiem postępowym, szlachetnym, dzielnym i twórczym.

NIE POZWOLIMY SZARGAĆ GODNOŚCI NAUCZYCIELA

Od nauczycieli — wychowawców młodego pokolenia społeczeństwo słuszenie żąda wysokich kwalifikacji moralnych, intelektualnych i zawodowo-pedagogicznych. Z drugiej strony nauczyciel powinien mieć zapewnioną wysoką pozycję społeczną. W interesie szkoły i młodzieży społeczeństwo troszczyć się powinno o wysoki autorytet nauczyciela.

Nie wszyscy jednak chcą prawdę te rozumieć. Ostatnio niektóre organy prasowe, w pogoni chyba za sensacją, wychytując pojedyncze, nie zawsze sprawdzone przykłady niewłaściwego, nieraz niezgodnego z etyką i powagą zawodu, zachowania się tego czy innego nauczyciela i roznosiły — nie wiadomo w czym interesie — tego rodzaju pojedyncze przypadki. Czytelnicy gazet, a nieraz i sami autorzy artykułów lub notatek prasowych łatwo uogólniają i wieść o „złych nauczycielach” niesie się szeroko po kraju, co gorzej, dociera do młodzieży, a rezultat wiadomy — cierpi na tym dobra opinia i autorytet ogółu nauczycieli, odbija się to także ujemnie na wynikach pracy wychowawczej szkoły.

Przykładem mogą tu być artykuły zamieszczone w „Dzienniku Ludowym”, „Dzień Świąteczny i dzień powszedni” (4.XII.1962 r.) oraz artykuł „Gigant czy ubogi krewny?” (6.II.1963 r.). Wyjaśnijmy od razu, że jest nas w Związku około 350 tysięcy (członków) nauczycieli oraz pracowników nauki i oświaty. W tak wielkiej masie wielorakich indywidualności mogą zdarzyć się — podobnie jak w każdej innej grupie zawodowej — przypadki postępowania nie licującego z zasadami etyki. Jest to chyba zrozumia-

łe. Zdarzające się pojedyncze przypadki, np. nadużyć finansowych, deprawacji młodzieży, drobnych kradzieży itp. — spotykają się z odrazą i potępieniem opinii nauczycielskiej, a jednostki tego rodzaju wyłączone są automatycznie ze społeczności nauczycielskiej, ze społeczności związkowej.

ŻYCIE „LECI” INACZEJ

Wróćmy jednak do „Dziennika Ludowego”. Artykuł „Gigant czy ubogi krewny?” podpisał aż dwie pracownice Redakcji — Z. Drożdż-Satanowska i H. Przedborska, a fragmenty jego zacytowało głośnie zainteresowania czytelników gazet — Polskie Radio (w przeglądzie prasy). Dla zasiedziały w Warszawie redaktorów słowo „wychowanie” — od strony biura redakcyjnego wydało się zbyt „czyste”, przeto postanowili „wyjść poza siebie”, postanowili zobaczyć, jak to jest z tym „wychowaniem”, zobaczyć życie „jak leci”. Spakowały więc manatki i aby zbytnio się nie utrudzić, pojechały niedaleko od Warszawy do „małej wioski nad Pilicą”. Z przekonaniem, że dotarli do samego jądra „rzeczywistości” z drzewczkiem sensacji, korzystając i nadużywając prawa gościnności, opisują mieszkanie pewnej nauczycielki „z wioski nad Pilicą”. Oto co mają do powiedzenia czytelnikom swojej gazety:

„Kurz pastelową śnieżką pokrywa meble, podłogę i ściany. Niezastłane łóżko odświeżają tajemnicze niepowleczonego poduszki i kołdry. Z nie zamkniętych kąpielowni widać i narzuca się prawdziwość i stałość tego stanu rzeczy. Gospodyni domu z głową okrojoną grubą czarną chustką, jakby bezradna pośród bałaganu swojego królestwa, czyni wrażenie człowieka, który nie tyle wrócił, co ukończył się z otoczeniem”.

Co za subtelność i wrażliwość w relacji! Ono w tym pogardy dla gospodyni mieszkanka, co za lekceważący ton w stosunku do „otoczenia”, z którym nauczycielka wraz z mężem (też nauczycielem) „utożsamia się”, patrzcie, jaka pogarda dla „grubej chustki” na głowie nauczycielki. Pracownicy Redakcji piszą chłopięcymi — chyba tak nie wypada. No cóż, niech autorki powyższych sformułowań przyjmą do wiadomości, że nauczycielkę pewnie nie było stać na cieniutką chustkę z francuskiego jedwabiu za 500 zł.

My nie chcemy od „Dziennika Ludowego”, by pisał o nauczycielce jak niedys Ziemski o „Silaczce”, ale odrobina tonu i atmosfery z „Silaczki” Ziemskiego przydałaby się autorkom artykułu.

JEDNA PANI DRUGIEJ PANI...

Okazało się, że dla autorek niesławnego artykułu w „Dzienniku Ludowym” życie „leciało” bardziej sensacyjnie i pikantnie, bardziej niż się pewnie tego spodziewały. Nie utrudziły się zbytnio, by to „życie” chwycić na gorąco. Po prostu posłuchały opowiadania nauczycielki, o której — jak to widzieliśmy — tak pięknie i obiecująco pisały. Koleżanka ta miała rzekomo opowiedzieć w następujący sposób o stosunkach panujących w sąsiedniej szkole, w której stawiła pierwsze kroki.

„Kierownikiem szkoły była kobieta. Mówiono, że doświadczony pedagog. Kiedy mąż wyjeżdżał do Warszawy, sprowadzała sobie chłopców ze wsi, a wreszcie przyjmowała intymnie nawet uczniów VI i VII klasy, kupując im za to zegarki. Przeniesiono ją potem za karę, ale, oczywiście, nie od razu”.

Nie do wiary. Czyżby za uprawianie nierządu i deprawowanie 12-letnich chłopców nauczycielkę „za karę” jedynie przeniesiono i o „nie od razu”? I autorki nie to wierzą i o tym tak lekko spokojnie piszą? Przecież jeśli to prawda, to powinien być tu wkrótce prokurator. Może redaktorom gazety — tak pro publico bono — wypadłoby się tym zainteresować. Wszak w tej innej miejscowości także są i starzy, i młodzi chłopcy.

Jeśli opowiedziany fakt jest prawdziwy, to nauczycielka, o której mowa, automatycznie wyłącza się ze społeczności nauczycielskiej i nagleżono o niej pisać nie jako o wychowawcy młodzieży, a jako o pospolitym przestępcy, którego ściga prawo.

Do stało się i środowisku. Oto w stosunku do budzącego odrazę, rzekomego postępowania nauczycielki, środowisko w świetle relacji „było raczej obojętne, przywykło do podobnych wypadków w swoim własnym otoczeniu”. Czyżby w tej „wiosce nad Pilicą” wypadki demoralizacji, deprawowania nieletnich były aż tak powszechne, że wszyscy do nich „przywykli”? I w to także, proszę szanownych redaktorów, nie wierzymy. Sądziemy, że nie wierzy w to i sam obywatel redaktor naczelny „Dziennika Ludowego”. To chyba tak gwałtownie zostało napisane (czego się nie robi dla poczytności gazety).

Pełne swady opowiadanie, włożone przez autorki artykułu w usta nauczycielki, nie kończy się. Jest dalekimi mowa o nieślubnym dziecku (a jakże) innej nauczycielki. Jest mowa jeszcze także o innej wsi. Tam w szkole — cytuję — „groszą nauczycielskie było tak skłócone, opłatywane plotkami, posądzeniami, domysłami, iż oddziaływanie moralne na dzieci stało się wręcz niemożliwe. Tym bardziej, że plotki przenosiły się na wieś, gdzie podwajały je i potrajały złośliwie języki ludzkie”.

Tak to — według słów autorek artykułu „Gigant czy ubogi krewny”, napisanych z patosem — wygląda „pierwszy szczebel, od którego zaczyna się kształ-

(Dokończenie na str. 2)

Rozmowy Poli Gojawicyńskiej z milczeniem

Z E zmiana Polą Gojawicyńską łączyły mnie stosunki z czasami międzywojennymi. Jako recenzent literacki ówczesnego „Robotnika” nader gorąco omawiałam na jego łamach „Ziemie Elżbiety”, „Dziewczęta z Nowolipki” i inne późniejsze dzieła świetnej pisarki, co utworowało drogę do koleżeń- skiego zbliżenia się i wzajemnego zaufania.

Przez szereg lat pracowaliśmy wspólnie w Zarządzie Związku Zawodowego Literatów Polskich — miałem więc możność poznania Jej nie tylko jako pisarki, lecz również jako człowieka — w Jej stosunku do ludzi, ich zwykłych spraw i zaległości.

Piszący tworzą zwykle wokół siebie pewną aurę izolacyjną, która ich zamyka w jakiejś otoczce, pozwala żyć sobą, swą problematyką, wizyjnością swego urojonego świata.

Postawa życiowa Gojawicyńskiej była zupełnie inna. Wchodziła ona w życie, przenikała je, zbliżała się do ludzi w sposób tak prosty, bezpośredni i naturalny, że nie odczuwało się żadnej w Niej obojętności czy zamknięcia. Była otwarta i poddana sprawom ludzkim, jak drzewo na pustkowiu — podmuchom wiatru. A interesowały ją nie tylko sprawy „zasadnicze”, lecz przede wszystkim cały spłót miniatury i zadziw- rzęć i okoliczności, które oplatają sprawy zasadnicze pajęczyną powiazań pozornie nikłych, lecz w sumie rozstrzy- gających.

To właśnie uderza w Niej nie tylko w życiu, lecz i w wizji artystycznej życia, splecionej z tkanki najsubtelniejszych, najblizszych pozornie postużeń i za- leżności.

Jakieś bowiem trzeba było chwytności wrażeń i rozwijności uczuć, by na tle realnego smrodu, brudu, jęzgotu i szwar-

gotu Nowolipki dojrzał ich urok i urodę, odkryć zagubiony w studni podwórza re- fleks odbitego od zakurzonej szyby pro- mienia, zbłąkanego tu przez nieporozu- mienie, słońca...

Spojrząc olśnionym i zachwytu oczyma na tę wychyloną z przyległych ka- mienie, spoza czarnego parkanu zieloną gałąź niewiadomego drzewa...

„O, to drzewo z obec ulicy, w szczeli- nie murów — o ogrodzie niewiadomy!”

Na tle barokowej prózy i politycznego zaangażowania Kadena-Bandrowskiego, sztucznego nieco chłodu i kunsztownej stylizacji Zofii Nałkowskiej — słowo Gojawicyńskiej pulsuje ciepłem i rytmem niezakłamaną nieczym prawdy ży- cia, która się nie boi, nie wstydzi swo- jej powszechności, jest pełną i bogatą na tyle, że nie da się oprawić w ramy zbawczej koncepcji politycznej chwili, na którą Gojawicyńska, pozornie objęta jej kleściami, patrzy krytycznie, z go- rączą zdobytego nie najłatwiejszą dro- gą — odczucia, doświadczenia i wiedzy.

W obrazie „Co nam zostało z tych lat” — daje wyraz temu, jakże niestra- wnemu dla politycznych ugniataczy ówczesnej opinii palacem krytyczno- wi artysty, który dosłownie i widzi zna- cznie więcej niż wygodnicki takt dojrzał by sobie pozwolił,

Nastaly potworne czasy okupacji. Gojawicyńska znalazła się za kratą Pawiaka, utrzymując z nami, któryśmi jeszcze byli na tzw. „wolności” — stały i częsty kontakt grypsowy. Te bezcenne, maleńkie skrawki, usłane drobnym ma- zakiem zwijki bibulek — zagubiły wia- trzy powstające w gruzach dwukrotnie przez Niemców podpalanego domu. A byłoby one dokumentem chwili wymo- wniejszym niż nawet „Krata”.

W trójkę (Zofia Nałkowska, Czesława Wojenka i inna) podpisany jako komi- tet pomocy i opieki nad więźniami-lite- ratami dostarczałyśmy Gojawicyńskiej do więzienia leków i tego, co się prze- mienić w ówczesnych warunkach dało, utrzymując z nią stały mimo zam- knięcia, kontakt. W maju 1943 roku, gdy wyszła z Pawiaka, udało mi się znaleźć Jej względnie spokojny czasowy azyl w willi — osobniku oddanych Jej całym sercem ludzi — na ulicy Różanej, na Górnym Mokotowie. Otoczono ją najserdeczniejszą, przyjacielską opieką, starając się zatrzeć Jej w pamięci wspo- mnienia więzienne.

Potem — Powstanie, tulaczka popo- wstanowa — i czasy późniejsze, przedostatnie, ostatnie. Na świeżo odbu-

(Dokończenie na str. 3)

20 LAT POLSKI LUDOWEJ we wspomnieniach nauczycieli

Ogólnopolski konkurs ZG ZNP

Zbliża się 20-lecie Polski Ludowej — dwadzieścia lat walki i uciąż- liwej pracy całego narodu o utrwalenie i rozwój naszego ludowego państwa. Jest sprawą niewątpliwą, że na różnych frontach walki o Polskę Ludową, o jej pomyślny rozwój, w sposób szczególnie zazna- czyli się nauczyciele. Wielki jest wkład pracy nauczycieli w dziedzinę oświatowo-wychowawczą, społeczno-kulturalną, politycznej i gospo- darczej. Patriotyczny nauczyciel Polski Ludowej brał aktywny udział w budownictwie zębów socjalistycznego państwa, w utrwalaniu wła- dzy ludowej, odbudowie i rozbudowie kraju, w rozwoju oświaty i kultury narodowej.

Zarząd Główny ZNP, pragnąc zebrać dokumentalny materiał świad- czący o udziale nauczycieli w tworzeniu naszej rzeczywistości i ma- jący w pewnym stopniu dać podstawę do podsumowania twórczego wkładu nauczycieli w okresie 20-lecia Polski Ludowej, ogłasza ogólno- polski konkurs pt.:

„20 LAT POLSKI LUDOWEJ WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELI”.

W konkursie mogą wziąć udział czynni nauczyciele, nauczyciele- emeryci, pracownicy oświaty, nauczyciele-działacze organizacji po- litycznych i społecznych oraz nauczyciele zatrudnieni w innych dzie- dzinach życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego.

Tematyki nie zawężamy do pracy w szkole. Powinna ona dotyczyć najszerzej pojętej działalności nauczycieli w środowisku, w organiza- cjach politycznych, gospodarczych i społecznych, w organach władzy ludowej itp.

Chodzi szczególnie o wypowiedzi, które ukazywać będą między innymi:

- walkę o nowe formy życia społeczno-politycznego w środowisku i upowszechnianie oświaty i kultury dla potrzeb ludzi pracy;
- pracę nad kształtowaniem profilu wychowawczego szkoły i po- staw młodzieży;
- ewolucję przemian w samym nauczycielu i w środowiskach nau- czycielskich;
- drogę dokształcania i doskonalenia zawodowego nauczyciela;
- współpracę szkoły z domem o lepsze wyniki dydaktyczno-wycho- wawcze;
- zdobywanie pozycji społecznej przez nauczyciela w środowisku;
- współpracę nauczyciela z organizacjami społecznymi i młodzie- żowymi;
- znaczenie organizacji związkowej w życiu i działalności nau- czyciela.

Pożądan jest, ażeby prace obejmowały możliwie szeroki zakres problematyki i działalności na przestrzeni dłuższego czasu. Nie krę- pujemy jednak autorów, którzy w swojej wypowiedzi zechcą skoncen- trować się jedynie na wybranych zagadnieniach w określonych latach działalności. Wybór i ustalenie tematu pozostawiamy uczestnikom konkursu.

Do prac konkursowych, jeśli to będzie możliwe, załączyć prosimy oryginalne dokumenty, fotokopie, fotografie, wycinki z prasy, odpisy itp. Nie ogranicza się objętości wypowiedzi.

Prace konkursowe należy opatrzyć godłem. Prace pisane odręcznie powinny być czytelne. W oddzielnej zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, należy podać imię, nazwisko i dokładny adres autora.

Termin nadsyłania prac mija z dniem 31 października 1963 r.

Dla autorów najlepszych prac przewiduje się następujące nagrody:

I nagroda	—	10 000 zł
2 II nagrody	po	7 000 zł
3 III nagrody	po	5 000 zł
10 IV nagród	po	3 000 zł
25 wyróżnień	po	1 000 zł

Poza tym autorom dalszych 20 wyróżnionych prac zostaną przy- znane nagrody rzeczowe.

Materiały zebrane w drodze konkursu będą opracowane naukowo przez specjalistów.

Prace drukowane w całości lub w wyjątkach będą — niezależnie od nagród — honorowane zgodnie z obowiązującymi stawkami autorskimi.



Fot. Cz. Górski

Instytut Pedagogiki wobec reformy szkolnej

W pracy nad przebudową i reorganizacją szkolnictwa pierwszoplanowa rola przypada między innymi placówkom naukowo-badawczym. Tego rodzaju instytucją, związaną z Ministerstwem Oświaty, jest Instytut Pedagogiki. Na temat planu pracy Instytutu na rok 1963, rozmawiamy z dyrektorem Instytutu — prof. dr. Wincentym Okoniem.

Red. — Uchwala o reformie szkolnej nakłada na Instytut Pedagogiki szczególne obowiązki. Wokół jakich zagadnień koncentrować się będzie praca Instytutu w roku bieżącym?

Prof. Okoń. — Z trzech podstawowych kierunków pracy nad przygotowaniem szkół do realizacji reformy, główny wysiłek skupimy w bieżącym roku na zagadnieniach metodycznych i programowych. Zależy nam bowiem bardzo, aby pomoc nauczycielom w ich niełatwym zadaniu usprawnienia i udoskonalenia metod oraz środków nauczania.

W związku z tym na plan pierwszy wysuwamy badania empiryczne nad możliwościami unowocześnienia procesu dydaktycznego. Poszukiwania nasze idą w kilku kierunkach. A więc nie tylko chcemy zweryfikować stosowane obecnie metody, poprzez sprawdzenie osiąganych przez nich wyników, ale również zbadać efektywność metod aktywizujących uczniów np. nauczania problemowego, stosowania środków audiowizualnych, pracy zespołowej, a także kształcenia politechnicznego. Prace te opierają się na eksperymentach podejmowanych bądź przez szkoły ściśle związane z Instytutem, bądź też takie, z którymi nawiązujemy doraźną współpracę.

Drugim poważnym działem, któremu poświęcamy wiele uwagi jest przygotowanie metodyk podstawowych przedmiotów nauczania. Przypuszczam, iż szczególnie pomocną okaże się, od tak dawna oczekiwana, nowa metoda nauczania początkowego, przygotowana pod redakcją mgra Z. Cydzik, dra T. Wróbla i doc. J. Zborowskiego oraz metodyka matematyki pod redakcją doc. dra Z. Krygowskiej. Ponadto w przygotowaniu są metodyki nauczania języka polskiego w klasie V—VIII i w klasach licealnych, geografii, historii w szkole średniej, języków francuskiego i angielskiego, zajęć technicznych i inne, nie mówiąc już o szeregu metodyk dotyczących jakichś bardziej szczegółowych zagadnień. Jak np. chociażby metodyka pracy nad lekturą czy pracy z tekstem literackim. Instytut pragnie zapewnić tym metodykom jak najwyższy poziom, przede wszystkim przez zaproszenie do współpracy najwybitniejszych specjalistów z różnych ośrodków naukowo-pedagogicznych. Sprzyjać powinna temu również dobrze zorganizowana praca zespołowa, obejmująca zarówno dyskusje nad ogólną koncepcją metodyk, jak i nad szczegółowymi zagadnieniami na tle całości.

Dużą wagę przywiązujemy do sprawy wychowania. W tym zakresie wysiłki nasze koncentrują się na badaniu warunków i metod wychowania społeczno-moralnego, estetycznego i fizycznego oraz na przygotowaniu odpowiednich metodyk. Prace z tej dziedziny są zróżnicowane dwójako: ze względu na ośrodek, którego dotyczy, a więc w zależności od tego, czy chodzi o oddziaływanie wychowawcze przedszkola, szkoły podstawowej czy liceum oraz ze względu na tzw. rodzaje wychowania: moralne, estetyczne, społeczne itp.

Myślę, iż w tym dziale na podkreślenie zasługują badania nad oddziaływaniem samorządu młodzieżowego na dzieci czy też nad wpływem środowiska pozaszkolnego na postępowanie młodzieży. Uwagę nauczycieli zainteresowanych problemami wychowawczymi powinna wzbudzić metoda wychowania szkolnego, nieznany dotychczas typ publikacji pedagogicznej.

Red. — Wszystkie wymienione tu prace dotyczą metod i środków nauczania. A jakie są prace Instytutu w zakresie programów i organizacji szkolnictwa?

Prof. Okoń. — Oczywiście i ta dziedzina jest przedmiotem żywego zainteresowania Instytutu. Pracownicy Zakładu Kształcenia Ogólnego, wraz z Dyrektorem, biorą bezpośredni udział w opracowaniu końcowej redakcji programów i uwag metodycznych do tych programów. Badamy też przydatność podręczników szkolnych, zwłaszcza tych, które wprowadzono do klas V, opartych już na założeniach reformy szkolnej. Prowadzimy również prace porównawcze nad programami nauczania i podręcznikami w różnych krajach.

Jeśli chodzi o organizację szkolnictwa i politykę oświatową, to warto wymienić podjęte przez Zakład Ustroju i Organizacji Szkolnictwa prace nad zagadnieniami współczesnym reform szkolnych, selekcji szkolnej w różnych krajach itp. Niezmiennie pożyteczny i przydatny może okazać się przygotowywany do druku poradnik dla dyrektorów szkół pedagogicznych.

Red. — Jeśli już mowa o szkołach pedagogicznych, to może zechce Pan Profesor poinformować naszych czytelników, jakie prace podjął Instytut w zakresie kształcenia nauczycieli?

Prof. Okoń. — Pracownicy Kształcenia Nauczycieli przy współudziale Zakładu Wychowania prowadzi badania nad metodami nauczania pedagogiki i psychologii oraz nad wpływem nauczania i wychowania w zkn na pracę nauczyciela w pierwszych latach po ukończeniu szkoły. Z problemem tym wiąże się i badania dotyczące losów absolwentów szkół zawodowych i studiów nauczycielskich.

Red. — Wspomniał Pan o eksperymentach prowadzonych przez pracowników Instytutu bądź też pod ich opieką i nadzorem. Czy w roku bieżącym działalność ta ulegnie dalszemu rozszerzeniu?

Prof. Okoń. — W dążeniu do wypracowania, możliwie najsukceszniejszych metod i środków nauczania i wychowania konieczne jest podejmowanie wielu różnorodnych eksperymentów. Instytut opiekuje się 10 „własnymi” szkołami eksperymentalnymi, a ponadto w roku bieżącym chce wziąć aktywniejszy niż dotychczas udział w pracy szkół eksperymentalnych na terenie kraju, nie związanych bezpośrednio z odpowiednimi pracownikami Instytutu. Oprócz szkół eksperymentalnych i eksperymentujących (między innymi dwoma typami zachodzi duża różnica, na którą zresztą wskazywałem w opracowanych w ubiegłym roku „Zasadach pracy szkół eksperymentalnych”) Instytut występuje z inicjatywą tworzenia szkół wiodących których koncepcja wywołuje w świecie nauczycielskim żywe zainteresowanie. Celem takiej szkoły wiodącej jest upowszechnienie treści metod, środków nauczania i wychowania oraz form organizacyjnych, wypracowanych i wypróbowanych doświadczalnie, przy czym dotyczyć to może wszystkich zagadnień szkolnych lub tylko wybranych, wszystkich przedmiotów bądź też ich grup, a nawet poszczególnych dyscyplin.

Jest pożądaną, aby w każdym powiecie była przynajmniej jedna szkoła wiodąca, co znacznie ułatwiłoby pracę nauczycielom szkół wiejskich, którzy są

oddaleni od ośrodków naukowych mogących im służyć pewną inspiracją i pomocą. Szersza z czasem sieć szkół wiodących pozwoli na wprowadzenie „fermentu twórczego” do najbardziej nawet odległych placówek.

Red. — Szkoły wiejskie to niejako odrębne zagadnienie. Czy Instytut w swoich planach uwzględnił prace, które wiążą się z nauczaniem w szkołach niżej zorganizowanych, z działalnością oświatową w środowisku wiejskim?

Prof. Okoń. — W naszym systemie szkolnym nie ma rozgraniczenia na szkołę wiejską i miejską. Dlatego i my w zasadzie nie wyodrębniamy tych dwóch typów placówek. Niemniej, nie możemy pominąć pewnych zagadnień specyficznych dla szkół niżej zorganizowanych, jak chociażby problem pracy w klasach łączonych czy szkołach zbiorczych. W roku ubiegłym prowadziliśmy badania na terenie województwa warszawskiego i olsztyńskiego nad niezadowalającymi wynikami nauki czytania w kl. I szkół wiejskich. Chodziło przy tym nie o stwierdzenie tych braków, lecz o wypróbowanie sposobów ich wyrównania. Praca na ten temat w zasadzie jest już przygotowana do druku.

Również w opracowywanej właśnie metodyce nauczania początkowego autorzy poświęcają sporo miejsca szkołom wiejskim, zwracając uwagę nauczycieli na konieczność uwzględniania pewnych różnic środowiskowych w nauczaniu poszczególnych przedmiotów.

Poza tym warto jeszcze wspomnieć o prowadzonych przed paru laty przez Instytut badaniach wyników nauczania w szkołach powiatu grodzkiego, podczas których zwrócono szczególną uwagę na szkoły leżące, jak również o próbach doc. Lecha, związanych z wprowadzeniem nowoczesnego systemu dydaktycznego w wybranych szkołach województwa lubelskiego.

Nie jest to wiele. W zasadzie bowiem, jak już wspominałem, rozgraniczenia między szkołami nasz system oświatowy nie przewiduje, zaś Instytut pracuje nad ogólną teorią pedagogiczną, która służyć ma wszystkim nauczycielom, tak pracującym na wsi, jak i w mieście.

Rozm. KRYSZYNA ROGALSKA



Rozmowy Poli Gojawiczyńskiej z milczeniem

(Dokończenie ze str. 1)

dotowanym Mariensztacie Gojawiczyńska otrzymała małe mieszkanie, które stało się dla niej obserwatorium nowego życia i pracownią literacką. Z zapamiętania zwróciła się do studiów i gromadzenia materiału surowego o nowym życiu, o odbiciu się jego, co ją specjalnie interesowało, w świadomości młodzieży. Pracuje nad nieukończonymi „Pamiętnikami Warszawianki”, którego pewne fragmenty ukazywały się w pismach w roku 1959. Nie udało się jej skończyć tego dzieła.

Zagadnienie psychiki i rozwoju kształtującej się w nowych warunkach życia społecznej młodzieży, której tyle serca, uwagi i czujnej obserwacji poświęciła w „Dziewczętach z Nowolipki” — było dla niej najbardziej palącą sprawą nowego życia. Jej skala widzenia, jak zawsze, obejmowała wykreślenie, niedojrzałość przez oficjalnych obserwatorów życia. Wobec piętrzących się trudności w podzieleniu się z czytelnikiem bolesną często prawdą swych doświadczeń, nie mogąc przebić muru otaczającej obojętności — zniechęcona oddożyła rekompas do szuflad, w których dotąd spoczywa.

Gojawiczyńska była zawsze rzeczniczką wszelkiej krzywdy, ponizienia i bólu. Zarzucała jej w epoce „radosnej twórczości” sanacyjnej, że plawi się w obrazach ponurych, w nastrojach pesymistycznych. Żadna teoria „jedynego” zbawczego rozumienia nie przesłaniała jej oczu różowym okularom, ani w epoce rozkwitu jej twórczości, ani potem. Nie lubiła łatwych pociech, ani usypiających czujność półprawd i półfaktów, nie była więc poręcznym gościem w dyplomatycznych konwentykach. Ale kto miał szczęście i zaszczyt zbliżenia się do niej — w wymianie całej kanciarstwu prawdy nieosiągalnego żadnym uciecznym madrygałom słowa — jak ona sama z sobą w „Rozmowie z milczeniem” — ten czuł i widział w jej szeroko otwartych oczach zryw buntu przeciw kaletwom życia, nie rozpiływającego się w zwykłej dla niej skali — pobażania, litości i współczucia.



Bo Pola Gojawiczyńska za wiele — „nad normę” widząc — umiała również mocno kochać, jak mocno nienawidzić. Pałając w każdej chwili jej życia, jak i każdego z nas, „Rozmowy z milczeniem” — napisane przed laty a żywe wleczeniem wyrzutem skrzywdzonego człowieka czy nie mówią więcej niż da się zawrzeć w wypominkowym słowie: „Ale tak przeżyć życie, w walce o kęs, o łachman, o swe miejsce w świecie z walonym po wręby brudem, umierać i pozostawać to swoim następcom, przekazywać im ten łachman życia? Kuzczemu to wszystko, zmierzaj? Któż to wszystko rozwikła, rozetnie, przerobi, ktoż to wypali wirtuozem nienawidzi czy miłości?”

Odpowiedzi na to pytanie od naszych oczekiwała czasów.

J. N. MILLER

Amerykańskie kłopoty z odsiewem

Mikołaj Kozakiewicz

Te wszystkie cytaty zaczerpnięte są z „Newsletter”, specjalnej publikacji NEWA (amerykański związek nauczycielski), poświęconej w całości problemowi walki z odpadem szkolnym.

Ponieważ, w proporcjonalnie mniejszym zakresie, my także mamy kłopoty z odpadem szkolnym, być może celowa rzeczą będzie poinformować naszych czytelników o wynikach badań nad uczniami, którzy ulegają odpadowi, przeprowadzonych przez Maryland State Department of Education (stanowe ministerstwo oświaty) za rok 1960/61. Badaniemi objęto 13 715 „odpadowców”. Wyniki badań zaskoczyły pedagogów amerykańskich, gdyż większość intuicyjnych i zazwyczaj podawanych powodów odpadu szkolnego nie sprawdziła się przy badaniu.

A więc okazało się, że bynajmniej nie jest prawdą, że porzucają szkołę najczęściej dzieci wykołone lub przestępcy. Wśród zbędnych „odpadowców” 79% nie sprawia żadnych trudności wychowawczych, a 76% nigdy nie było karane zawieszeniem w prawach ucznia.

Nie znaleziono również potwierdzenia jakoby odpadali najczęściej uczniowie pozbawieni rodzin lub z rodzin rozbitych. 80% zbędnych posiadało co najmniej jednego z rodziców, zaś 70% — oboje rodziców.

Wśród badanych fakt, że odpad był tym większy, im niższy był poziom kulturalny rodziców i niższe ich kwalifikacje zawodowe oraz niższe zarobki. 46,4% „odpadowców” pochodziło z rodzin, w których ojciec był robotnikiem niekwalifikowanym, zaś 6,2% — pozbawionym zawodu lub bezrobotnym. Druga połowa pochodziła z rodzin, których głowę miały zawód bardzo niestabilny i mało sprecyzowany. Jest rzeczą zdumiewającą, że 78,5% matek „odpadowców” i 80% ich ojców w młodości swojej przerwała naukę przed jej ukończeniem, zaś 30,9% ojców i 24,4% matek nie ukończyło więcej niż sześć klas szkoły podstawowej.

Sport i kółka zainteresowań — Wiele do myślenia daje fakt, że 2/3 wszystkich zbędnych „odpadowców” nigdy nie brało udziału w życiu sportowym, nie uprawiali sportu i nie oddawali się żadnym zajęciom w pozaszkolnych kółkach zainteresowań. Można stąd wnosić, że sport i kółka zainteresowań zarówno uczą dyscypliny, jak i wiążą ze szkołą, budząc nadzieje, bogate przeżycia, łączące ucznia z nauką.

Odpad a kierunek nauki — Okazuje się, że odpad jest różny w zależności od stopnia specjalizacji programu. Największy

był w szkołach ogólnokształcących, — 45,8% ogółu zbędnych, ale już w handlowych wynosił tylko 19,2%, w zawodowych — 12,9%, w szkołach akademickich — 11,2% i w pozostałych — 10,9%.

Wydaje się więc, że wszędzie tam, gdzie nauka szkolna oferuje uczniowi coś konkretnego (zawód, pozycję), odpad jest mniejszy, tam zaś, gdzie młodzież uczy się, żeby się tylko uczyć, tam odpad jest największy, gdyż celowość samego wysiłku jest trudniejsza do zrozumienia.

Obowiązek szkolny w stanie Maryland określa się wiekiem, a nie ilością skończonych klas, dlatego też 45,9% „odpadowców” ucieka ze szkoły jak tylko wybie im 16 rok życia, choć do ukończenia szkoły było jeszcze daleko. Autor nie bez racji zapytuje: „Ciekawe, ile młodych uciekło wcześniej, gdyby prawo na to pozwalało? Jak wielu ukończyłoby szkołę, gdyby obowiązek był przedłużony do 18 roku życia? Wreszcie, ilu „odpadowców” pozostałoby w szkole, gdyby uczono ich według sensowniejszych programów i lepszymi metodami?”

Zapytano również samych zainteresowanych o to, dlaczego przerwali naukę przed ukończeniem szkoły. Odpowiedzi były bardzo charakterystyczne:

nuda i brak zainteresowania nauką	35,3%
brak sukcesów w nauce	17,8%
małżeństwo i ciąża	14,5%
kosztowność nauki, brak pieniędzy	10,0%

Łącznie te cztery motywy przerwania nauki dominowały i zostały podane przez 77,6% zbędnych.

I te cztery autor kończy pytaniem nie pozbawionym sensu i w naszych polskich warunkach: „Czy tak wysoki odsetek podanych nudy i brak zainteresowania nauką oznacza, że młodzież ta nie interesuje się niczym, czy też tylko, że nie interesuje się tym, co szkoła ma jej do zaoferowania? A w przypadkach, gdy powodem był brak sukcesu w nauce, to czy oznacza to, że uczeń nie potrafił przystosować się do wymagań programu, czy też że program był nieprzystosowany do możliwości ucznia?”

Wyjawszy kosztowność nauki i (w sensownym roku życia) ciążę i małżeństwo, które są specyfiką amerykańską, związaną na pewno ze społeczno-ustrojowymi właściwościami tego kraju, pozostałe dwa motywy — byliby, jak sądzić, ważne i w Polsce. Swoją drogą, jaka szkoda, że u nas nie zrobiono tak masowych badań na ten temat. A może jakieś kuratorium weźmie przykład ze Stanu Maryland i na własną rękę dokona analizy motywów odpadu szkolnego na swoim terenie? W tej akurat dziedzinie wzorować się na Amerykanach można i warto.

A. B.

Przed ważną decyzją siedmioklasistów

KĄŻDEGO roku, w czerwcu spotykamy w Kuratorium Siołecznym tłumy młodzieży i rozgorączkowanych rodziców szukających miejsce w szkołach średnich.

Rokrocznie powtarza się to samo zjawisko: w tzw. atrakcyjnych szkołach jest po 3—4 kandydatów na jedno miejsce, podczas gdy inne, szczególnie zasadnicze szkoły zawodowe, jeszcze we wrześniu nie mają kompletu uczniów.

Czeka więc na rozwiązanie problem właściwego doboru kandydatów do szkół średnich. Jest to chyba sprawa zasadnicza tak dla rodziców, jak i dla szkoły podstawowej, której nie jest obojętny los jej absolwentów. Funkcja bowiem szkoły nie może się ograniczać do podania młodzieży określonego programu zasobu wiedzy, wystawiania ocen, ale również, a może przede wszystkim wskazywać dalsze kierunki nauki i pracy.

Niełatwa to jednak rzecz, wchodził tu bowiem w grę wiele czynników jak: potrzeby gospodarcze kraju, zainteresowania i uzdolnienia ucznia, życzenia i aspiracje rodziców. Według liczb ustalonych przez Miejską Komisję Planowania Gospodarczego w Warszawie, powinniśmy w nadchodzącym roku szkolnym spośród absolwentów klas VII kierować do liceów ogólnokształcących 25%, do techników zawodowych 50%.

do jakiej szkoły mają zamiar pójść po ukończeniu klasy VII, otrzymano następujące dane: do szkół średniej ogólnokształcącej wybiera się 35,5% uczniów do techników — 50,5%, do zasadniczych szkół zawodowych (łącznie z przyzakładowymi) tylko 14% naszych siedmioklasistów. Tak oceniają swoje możliwości sami uczniowie.

Wychowawcy, biorąc pod uwagę postępy w nauce i uzdolnienia uczniów inaczej zakwalifikowali swych wychowanków. Według ich opinii do szkół średniej ogólnokształcącej nadaje się 24,7%, do techników 29%, a do zasadniczych i przyzakładowych szkół zawodowych 46,2%.

W oparciu o przeprowadzoną ankietę, uzyskano inny, bardzo ciekawy materiał, a mianowicie wpływ środowiska rodzinnego na decyzję w wyborze zawodu (szkoły). Co się okazało? Otóż ani jedno dziecko z rodziny inteligentnej (na 43) nie idzie do zasadniczej szkoły zawodowej, zdecydowana większość, bo 55,8% wybiera się na „ogólniaka” i 44,2% do technikum.

Inaczej sprawa ta wygląda w rodzinach robotniczych, gdzie na 41 dzieci, do średniej szkoły ogólnokształcącej wybiera się tylko 9,7%, do techników aż 60%, do zasadniczych i przyzakładowych szkół zawodowych 30,3%.

Wniosek z tego, że wpływ rodziny na wybór zawodu jest bardzo wyraźny. Niestety, nie zawsze prawidłowy. Ciekawie również przedstawia się sprawa motywów wyboru tej lub innej szkoły. Badani uczniowie w zdecydowanej większości, jako motyw wyboru wybranej przez siebie szkoły, podawali: w 66% — rzekome zainteresowanie, w 40,1% — życzenie rodziców, w 14,2% — uzdolnienie, 6,4% — wpływ kolegów, 5,3% — sprawa zarobku i tylko, o dziwo, 3,2% — sugestia szkoły. Sprawa ta chyba nie wymaga komentarzy. Wniosek prosty, ale bardzo smutny. Szkoła nie ma prawie żadnego wpływu na wybór zawodu przez jej wychowankę. Dzieje się tak dlatego, ponieważ wychowawcy klas VII całą pracę w sprawie wyboru zawodu ograniczają do jednej lub dwu pytań: z jakimi uczniami, ewentualnie jakiego ogólnego rozmowy z rodzicami, i na tym koniec.

Szkola moja jest szkołą typową, wielką szkołą miejską, położoną w centrum jednej z dzielnic. Zjawisko, o którym mówię, nie wygląda w innych szkołach chyba inaczej, skoro, według rozsznargowanych przez poradnię psychologiczną w całej Warszawie, zgłoszono chęć podjęcia nauki w zasadniczych szkołach zawodowych tylko około 13% uczniów klas VII.

Z zebranych materiałów ankietowych wynika, że młodzież nasza o zasadniczych szkołach zawodowych wie bardzo mało. Na 43 dzieci z rodzin inteligentnych tylko 6 osób wiedziało o istnieniu zasadniczych szkół zawodowych, z tym, że niektóre z nich mają wypalone pojęcie o tego rodzaju szkolnictwie.

Cytując: „Zasadnicze szkoły zawodowe, takie jak liceum pedagogiczne trwają 5 lat, po czym można uczyć się dalej lub kształcić się na profesora w wyższej szkole”. Inna wypowiedź uczennicy: „Zasadnicze szkoły zawodowe przyjmują kandydatów po VII klasie i dają im średnie wykształcenie”. I jeszcze jedna tego typu wypowiedź: „Wiem, że zasadnicza szkoła trwa 5 lat, będę miał zawód technika i ułatwione dostanie się na wyższą uczelnię”.

Lepiej sprawa ta, że zrozumiałych względów, wyraża w środowisku robotniczym, tam na 41 dzieci — 22 miało jakieś pojęcie o zasadniczej szkole zawodowej.

Biorąc pod uwagę ujawnione zjawiska, świadczące o małej skuteczności dotychczasowych form pracy z młodzieżą szkół podstawowych — czekając na pomoc w podjęciu tak ważnej decyzji, zaplanowaliśmy i częściowo realizujemy już następujące formy pracy: wycieczki do zasadniczych i przyzakładowych szkół zawodowych, wycieczki do zakładów, w których pracują uczniowie i absolwenci tych szkół, organizowanie spotkań z produkcyjnymi kwalifikowanymi robotnikami z różnych specjalności, np. frezer, grawer, cukiernik itp. Postanowiliśmy wykorzystywać na ten cel, w okresie do końca roku szkolnego, wszystkie godziny wychowawcze, jak również zorganizować różne formy informacyjno-propagandowe oddziaływania: gazetki, apele, audycje radiowe, szkolne koncerty itp.

Aby jednak wychowawca mógł mówić na temat właściwego wyboru zawodu z uczniami, musi sam bardzo dobrze znać przynajmniej zasadnicze typy szkół zawodowych. Potrzebne są dokładne materiały informacyjne, które powinny przygotować władze oświatowe, jak również i zainteresowane szkoły średnie.

Aktywniejsze niż dotychczas powinny pracować Poradnia Psychologiczne. Wprawdzie pracownicy poradni przeprowadzili rozsznargowane ankiety wśród młodzieży i rozmawiali z częścią uczniów i ich rodzicami (w niektórych wypadkach), ale to wszystko, niestety, jak wykazuje praktyka, jest zupełnie niewystarczające.

Obok tych form oddziaływania na młodzież, należy według mnie, przede wszystkim podjąć akcję uświadamiającą rodziców. Sprawa ta jest o tyle niepokojąca, że niestety, jak wykazuje materiał, nie mamy prawie żadnego wpływu na decyzję rodziców. Oni w zasadzie decydują o wyborze zawodu swych dzieci, nie licząc się w wielu wypadkach z ich możliwościami. Dopiero po 2—3 latach przy spotkaniach z nauczycielami szkoły podstawowej przynajmniej im rację i żalują pochopej decyzji, ale w większości wypadków jest już za późno. Dziecko albo nie daje sobie rady w „wybranej” mu przez rodziców szkole, opuszcza ją, albo zostaje przez szkołę usunięte. Dalszy bieg wypadków jest nam znany — wagarzy, zle towarzystwo, częste chuligaństwo, nawet złodziejstwo — sąd i zakład poprawczy. Tak być nie powinno, ale niestety często tak bywa.

Problem wyboru kierunku dalszej nauki dla absolwenta szkoły podstawowej nie jest tylko sprawą czysto osobistą rodziców, to sprawa wagi społecznej. Dopóki jednak decyzję wyboru zawodu pozostawimy przypadkowi i aspiracjom rodziców, bardzo często aspiracjom pozbawionym realnego podłoża, dopóty problem nasycenia naszej gospodarki narodowej planowym wpływem kadr specjalistów będzie tylko, pobożnym życzeniem i dopóty pracy szkół średnich towarzyszyć będzie w poważnych rozmiarach zjawisko odpadu i odpadu szkolnego.

PRZECIWPSTAWIĆ się temu żywiołowi nie potrafi sama szkoła, przy obowiązujującym dotychczas systemie rekrutacji do szkół średnich. Chodzi o to, aby w sposób zasadniczy zmienić

opinie społeczeństwa o sprawie wyboru zawodu dla swych dzieci.

Przed wszystkim chodzi tu o przełamanie uprzedzeń i niechęci do zasadniczych i przyzakładowych szkół zawodowych. Sądzę, że w tej szerokiej społecznej akcji poważną rolę ma do spełnienia radio, prasa i telewizja oraz rady zakładowe, uniwersytety dla rodziców TPD, Liga Kobiet i inne. Potrzebne są tu konkretne i wszechstronne informacje, okazuje się bowiem, że stosowane dotychczas metody i formy pracy w zakresie rekrutacji młodzieży do szkół średnich są zbyt ogólne, nie oparte na materiałach docierających do świadomości tak uczniów, jak i ich rodziców. Stąd też nie odnoszą one prawie żadnego skutku.

W artykule tym nie poruszyłem sprawy kryteriów przyjęć przy egzaminach wstępnych do szkół średnich. Jest to oddzielny, bardzo istotny problem. Nie wystarczy tutaj wysiłek samej szkoły podstawowej, która troszczy się o każdego swego absolwenta. Równolegle z tym musi iść w parze opracowanie właściwych kryteriów przyjęć kandydatów do szkół średnich, musi ulec zmianie atmosfera egzaminów wstępnych. Trzeba doprowadzić do pełnego, respektowania ocen na świadectwie szkoły podstawowej i do jej odrębny problem, wart bliższego i szczegółowego rozważenia.

— Aby zyskać obraz nauczycielskiego „dnia powszedniego”, ruszyłem w baloty-godniową wędrówkę. Cenny jest subiektywizm wypowiedzi. Ale badać również pożyteczne będzie obiektywizm obserwatora i to bynajmniej nie rozszarżujące sobie pretensji do wyzerpania całokształtu zagadnienia. Znamienna rzeczą było, że niemal wszyscy nauczyciele — moi rozmówcy zastrzegali sobie tajemnicę nazwiska i miejscowości. Nomina sunt odiosa — niejeden zażęgnywał się od druku jego spraw. Pomijam tu powody: słuszne one czy urojone? Łącznie odwiedziłem siedmiu SPRAWIEDLIWYCH. Nie byli to ludzie GNIENNI! Warto było z nimi pomówić! Czy warto ich wypowiedzi wydrukować, niech już zdecydowały redakcja. Molm zdaniem TAK, jako (nieco mozalkowy) obraz NAUCZYCIELA DOBY OBECNEJ. Taka „dokumentacja” może się przydać — jeśli nie teraz, to w perspektywie. Socjolog, historyk czy archiwista — będzie miał materiał „jak znałazł”!...

PIERWSZE...

Kolega Andrzej jest zamilowanym regionalistą. Wszystkie jego poczynania — zarówno w życiu szkolnym, jak i społecznym — nacechowane są wytrwaniem (a skutecznym) dążeniem do podniesienia kultury środowiska. Studjuje — oczywiście, zacznie. Zbiera książki, sztychy, monety. Interesuje go bardzo folklor i przeszłość (sławnego ongi) miasta. Wyciąga na światło dzienne dawno zapomniane dokumenty, wydobywa legendy i poddaje je wnikliwej analizie, jako przejawy kultury przodków. Z miastem łączy go rozliczne węzły — pokrewieństwa i powinowactwa. Mówią tu o him: to „swoi człowiek”. Chętnie się go słucha, szczególnie, kiedy mówi o przeszłości rodzinnych stron. Nie znaczy to, aby odwracał się od teraźniejszości. Wszędzie go pełno.

Kolega Andrzej jest niemiłowanym ambasadorem swego zakładu, tj. szkoły. Wciąż i z tego tytułu — liczni przyjeźdźni i nie oczekiwani goście. Jedni „po lini”, drudzy — „ze szczebla”, jeszcze inni — prywatnie. Latem są kolonie, a przez cały rok szkolny — wycieczki. I tutaj jest niezbędny kol. Andrzej jako przewodnik.

Niemniej absorbująca jest praca w terenie: kolega Andrzej jest jednym z wiceprezesów regionalnego towarzystwa krzewienia kultury, wykładowcą Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Gdyby nie funak nie sposób byłoby dostać się do niektórych miejscowości. A wszędzie „obecność konieczna”!!! Dużo obowiązków, dużo pracy. Kolega Andrzej jednak się nie skarży. Jedynym skromnym marzeniem jego jest, aby doba miała trzydzieści sześć godzin, aby nocą nie gasło światło, bo przecież trzeba poprawić wypracowania z literatury, napisać artykuł do dziennika regionalnego i czasopism stołecznych! Ma już cały album wycinków prasowych. Nie mówił mi, ale na pewno wklei również wycinek z naszego spotkania. A może nie będzie wiedział, że to dotyczy jego osoby? Powodzenia, Andrzejul!

DRUGIE...

Niekroć spotykałem na stanowiskach wiejskich nauczycielek młode dziewczęta stałe mi przed oczyma postać „Silaczki”. — Żeromskiego. Ale koleżanka Basia nie rozumie koleżanki Bolewskiej. Jest to jedno z niezrozumiałych pocieszeń. Zbyt młoda, zbyt wesola, zbyt wrosła w nową epokę, jest niemal dzieckiem Polski Ludowej.

Czy szkoła jest treścią życia, czy tylko materialnym marginesem? To pytanie uważa też za niedobre sformułowane. Wszystko się u niej doskonale łączy. Żyje szkołą do południa, jak zajaciami domowymi po południu, a klubem i świetlicą — wieczorami. Telewizor wypiera niezdarzone, choć stałe kino wiejskie z przedpotopowymi filmami i zdarta częsta taśma magnetofonowa. Zresztą przebywanie w dusznej i brudnej sali — raz i nie tylko jej poczucie estetyki, ale i zrozumienie postulatów higieny. Pozostaje jeszcze powrót nie oświetlonymi ścieżkami, bo na „rogatke” i „główniej drodze” łatwo się natknąć na pijane gangi napastliwych wyrostków.

Życie kulturalne, atrakcje? Oczywiście — jest ich niewiele, ale dla tych tylko, którzy nie umieją sobie tego „życia” zorganizować. Najpewniejszy jest wieczór

W troskach tych i opałowo-mieszkanio-wych pomaga też kolegom. Wegla — nie uświadczył — chyba na asygnał — wiadomo: ale po wsiach nie ma drzew! Już tamtej zimy poszły na podpałkę płoty, teraz trzeba było wyrąbać cztery (na szczęście dzikie) grusze. Nie do pozdroszczenia jest los wsiowego emeryta-nauczyciela. Matka Czesława jest wdową po zastępnym kierowniku szkoły, który organizował placówki w okresie najcięższych represji carskiego rządu.

Wierny swoim zamiłowaniom — pisze Czesław na lamach prasy ludowej o trudnościach związanych z wychowaniem młodego pokolenia. Wiele winy ponoszą rodzice, interesujący się szkołą dopiero pod koniec roku — i to pod kątem postępów syna czy córki — i raz do roku, w Dniu Nauczyciela. Stąd kłopoty: dalsze: dom — swoje, szkoła — swoje. A „korzysta” z tego młodzież, patrząc tylko na to, jak wyfrunąć z zapadłej zapomnianej przez Boga i ludzi wsi do wielkiego miasta! Z tej pogoni — przezwąnie za bardzo względny urokami stolicy wojewódzkiej — wraca poniekądry. Zresztą wieś się starzeje i wydłania. I pije przy łań okazji, Czesławowi poszerzył się warsztat pracy — o pogadanki przeciwalkoholowe.

CZWARTE...

Danuta! Ale z góry wyjaśniam, że to — kryptonym w miejsce imienia, w porządku alfabetycznym nieco dalszego. Upierzam o tym moją miłą rozmówczynię... i proszę o curriculum vitae et studiorum.

Niedługo — odpowiada. Trzy lata temu ukończyła liceum pedagogiczne w nie bardzo podłym mieście... Czy powiedzieć?

Raczej ogólnie! — Ja też chciałabym być bohaterką pozytywną!

Zgoda i na to, byle szczerze, a zwłędnie! Największa trudność, na jaką koleżanka natrafiła na początku swojej kariery szkolnej?

Mamy i ciocie na pierwszej wykładówce, które nie mogły mi darować szpilek i szalowej fryzury!

A więc ilustracja szła zgodnie z powiedzeniem: „od stóp do głów”!

Nie inaczej! I to — jak mi się później interesantki przynajły — usposobiło je do mnie z miejsca jak najbardziej krytycznie.

A ojcowie, młodzi ojcowie — poprawiam się.

Także początkowo nie chciałem zrozumieć, że nowoczesna nauczycielka — nawet w małym osiedlu — ma prawo do elegancji i ubioru, który by podnosił jej samopoczucie. Niestety — bardzo zresztą szanowana — moja poprzedniczka, służ- bowa nauczycielska uważała za swoisty zakon i prawie po zakonnemu się nosiła. Ludzie po prostu przyzwyczaili się do tego stylu — i można im chyba to darować — tym więcej, jeżeli nieporozumienia z tej przyczyny miały charakter raczej przejściowy.

A fakt szczególnie radosny z dalszej praktyki szkolnej?

Właśnie łączy się z „trudnościami” pozyskania środowiska, o którym mówiłam. Tym milszy był dla mnie ze- szłoroczny Dzień Nauczyciela. Dostałam kwiaty. I kilka książek. I list od Pań- Rodziców, które początkowo miały mi wszystko za złe i posadzały mnie co najmniej o kontakty z piekielnymi mo- ciami! W tej przemianie ustosunkowania się do mnie walcie pomogły mi dzieci klasy, której wychowawczynią jestem już trzeci rok.

Wiadomo — przez dziecko do matki! To chyba najłatwiejsze. Zyskać sobie zaufanie i sympatię środowiska. Gdyby mi się to nie udało, byłabym stąd ucie- kła...

I nie zrobiła pani tego?

Jak pan widzi! Pierwsze lody prze- lamane i teraz czuję się obywatelką miejscowości, gdzie zaczęłam karierę na- uczycielki. I nie tylko nauczycielki! Wy- chodzi tu za mąż. Będziemy mieli dom, mieszkanie. Chyba już tu zostanę!

(c.d.n.)

ŻYJEMY Przedmiotem. Nie tym Żeromskiego, ani tym za oknem, nawet nie tym, któremu towarzyszy nieuchron- nie straszliwa groźba żywio- łów: powódź. Przedmiotem pani. Pani kazała napisać wypracowa- nie o Przedmiotem. Tytuł pisał się oczywiście duża literą. Uwaga zresztą zbędna. Każde dziecko wie co i kie- dy należy pisać dużą literą. Kłopot z treścią. Wypracowanie ma być napisane nowoczesnie. Pani powiedziała, że nie bę- dzie czytać ekliwych, sentymentalnych rozważań o kwiatkach i roślinach, które budzą się. Więc jak?

Dzieci lubią panią i bardzo chcą jej dogodzić. Zbierają się przy opłotkach, wy- cisnąwszy pieczęcie w brudnym, topniejącym śniegu, rącając w chatupach.

O sasankach. — E, tam, Pani mówiła- żeby nie. Zresztą sasanki później, nie teraz. Najwyżej o przebieśniętach, przy- laszczkach. — Hm.

Może o Cezarym Baryce, tym, co to w lejniku żołnierskim i w studenckiej cza- pe parł na czele tłumów na Belweder. — A po co?

Żeby zdobyć. Bo w Belwederze mie- szkał Piłsudski. Wiecie?

Eee. Kiedy to było. Nikt nie pamięta.

A dziś mieszka tam obywatel Aleksander Zawadzki. Pisaliśmy do niego życzenia na urodziny i otrzymaliśmy odpowiedź. Napi- sal: „Moje bardzo drogie dzieci”. Nie, nie chcemy o Czarusiu.

Może o zakuszniku?

O jakim to?

Pisał o nim Wicenty Burek przed wojną.

Aaa, przed wojną...

Ala to ważne, zakusznik zabierał ostatnią krowę za podatki.

Dziś nie. Nie chcemy o zakuszniku.

Stypnie się nazwał.

Więc może o wczesnym przedśwoku, o braku chleba, mleka, tłuszczu, o chłop- czyku, któremu siostra zabrała jedyną buty, by pójść do szkoły.

Nie wstydziła się w męskich buc- kach? To ci heca. Nie miała? Nawet pół- szpilek? Kacuszek też nie? Spylka czy jak? Nie chcemy o takiej.

To może o tym, jak dzielił ziemię na przedmiotem?

A po co ją dzielił? Lepiej, żeby były duże gospodarstwa, małe nie są opłacalne.

— To była pańska ziemia, dworska.

— Aha. Przez liczby całkowite czy ulamki?

— Nie rozumiem.

No, jak dzielił? Myśmy już przera- biali przez zwykające i dziesiętne. Nie takie znowu trudne. A oni, ci, co dzielił, dobrze byli obkuci w ulamkach?

Nawet bardzo. Tylko w ulamkach.

— Ale twoja mama, chyba, nie dzieliła. Może zapomniała?

Przedwiośnie

Waldemar Rożnicki

— Dajcie mi święty spokój. Sami po- wiedziecie, z czym wam się kojarzy przed- wiośnie.

— Z muzyką i ciastem.

— ?

— Bo się otwiera okna i słychać z gło- sników muzykę. Czasami Dzierżanowskiego, ale najczęściej Irenę Santor. Kasia w niej gustuje, dla niej istnieje tylko ta Elytką Piaffe. Ona to w ogóle: same twisty.

— Teraz już nie, teraz szuka po całej Europie tej bosej nowej. Jeszcze inne dzwiny namawia. Tańczą na każdej przetrwie.

— Dobrze, już dobrze. Tylko czy to ma- coś wspólnego z Przedwiośnią?

— Jak najbardziej. Przecież mówimy, że ludzie otwierają okna i słychać na cały regulator głosniki.

— Hm. A ciasto?

— Bo się dużo piecze. Ciepłe dzieje. I tata niesie to zarobione ciasto do piekarni, do spółdzielni i potem pachnie w całej wsi. Uch, jak lubię ten zapach i świeży chleb. My z bratem wtrajamy cały bochenek z samym tylko mlekiem. Ale teraz mleko jest niedobre, za tłuste, bo krowy są wysokocielne. Dopiero na

— To była pańska ziemia, dworska.

— Aha. Przez liczby całkowite czy ulamki?

— Nie rozumiem.

No, jak dzielił? Myśmy już przera- biali przez zwykające i dziesiętne. Nie takie znowu trudne. A oni, ci, co dzielił, dobrze byli obkuci w ulamkach?

Nawet bardzo. Tylko w ulamkach.

— Ale twoja mama, chyba, nie dzieliła. Może zapomniała?

— Dajcie mi święty spokój. Sami po- wiedziecie, z czym wam się kojarzy przed- wiośnie.

— Z muzyką i ciastem.

— ?

— Bo się otwiera okna i słychać z gło- sników muzykę. Czasami Dzierżanowskiego, ale najczęściej Irenę Santor. Kasia w niej gustuje, dla niej istnieje tylko ta Elytką Piaffe. Ona to w ogóle: same twisty.

— Teraz już nie, teraz szuka po całej Europie tej bosej nowej. Jeszcze inne dzwiny namawia. Tańczą na każdej przetrwie.

— Dobrze, już dobrze. Tylko czy to ma- coś wspólnego z Przedwiośnią?

— Jak najbardziej. Przecież mówimy, że ludzie otwierają okna i słychać na cały regulator głosniki.

— Hm. A ciasto?

— Bo się dużo piecze. Ciepłe dzieje. I tata niesie to zarobione ciasto do piekarni, do spółdzielni i potem pachnie w całej wsi. Uch, jak lubię ten zapach i świeży chleb. My z bratem wtrajamy cały bochenek z samym tylko mlekiem. Ale teraz mleko jest niedobre, za tłuste, bo krowy są wysokocielne. Dopiero na

— To była pańska ziemia, dworska.

— Aha. Przez liczby całkowite czy ulamki?

— Nie rozumiem.

No, jak dzielił? Myśmy już przera- biali przez zwykające i dziesiętne. Nie takie znowu trudne. A oni, ci, co dzielił, dobrze byli obkuci w ulamkach?

Nawet bardzo. Tylko w ulamkach.

— Ale twoja mama, chyba, nie dzieliła. Może zapomniała?

— Dajcie mi święty spokój. Sami po- wiedziecie, z czym wam się kojarzy przed- wiośnie.

— Z muzyką i ciastem.

— ?

— Bo się otwiera okna i słychać z gło- sników muzykę. Czasami Dzierżanowskiego, ale najczęściej Irenę Santor. Kasia w niej gustuje, dla niej istnieje tylko ta Elytką Piaffe. Ona to w ogóle: same twisty.

— Teraz już nie, teraz szuka po całej Europie tej bosej nowej. Jeszcze inne dzwiny namawia. Tańczą na każdej przetrwie.

— Dobrze, już dobrze. Tylko czy to ma- coś wspólnego z Przedwiośnią?

— Jak najbardziej. Przecież mówimy, że ludzie otwierają okna i słychać na cały regulator głosniki.

— Hm. A ciasto?

— Bo się dużo piecze. Ciepłe dzieje. I tata niesie to zarobione ciasto do piekarni, do spółdzielni i potem pachnie w całej wsi. Uch, jak lubię ten zapach i świeży chleb. My z bratem wtrajamy cały bochenek z samym tylko mlekiem. Ale teraz mleko jest niedobre, za tłuste, bo krowy są wysokocielne. Dopiero na

— To była pańska ziemia, dworska.

— Aha. Przez liczby całkowite czy ulamki?

— Nie rozumiem.

No, jak dzielił? Myśmy już przera- biali przez zwykające i dziesiętne. Nie takie znowu trudne. A oni, ci, co dzielił, dobrze byli obkuci w ulamkach?

Nawet bardzo. Tylko w ulamkach.

— Ale twoja mama, chyba, nie dzieliła. Może zapomniała?

— Dajcie mi święty spokój. Sami po- wiedziecie, z czym wam się kojarzy przed- wiośnie.

— Z muzyką i ciastem.

— ?

— Bo się otwiera okna i słychać z gło- sników muzykę. Czasami Dzierżanowskiego, ale najczęściej Irenę Santor. Kasia w niej gustuje, dla niej istnieje tylko ta Elytką Piaffe. Ona to w ogóle: same twisty.

— Teraz już nie, teraz szuka po całej Europie tej bosej nowej. Jeszcze inne dzwiny namawia. Tańczą na każdej przetrwie.

— Dobrze, już dobrze. Tylko czy to ma- coś wspólnego z Przedwiośnią?

— Jak najbardziej. Przecież mówimy, że ludzie otwierają okna i słychać na cały regulator głosniki.

— Hm. A ciasto?

— Bo się dużo piecze. Ciepłe dzieje. I tata niesie to zarobione ciasto do piekarni, do spółdzielni i potem pachnie w całej wsi. Uch, jak lubię ten zapach i świeży chleb. My z bratem wtrajamy cały bochenek z samym tylko mlekiem. Ale teraz mleko jest niedobre, za tłuste, bo krowy są wysokocielne. Dopiero na

— To była pańska ziemia, dworska.

— Aha. Przez liczby całkowite czy ulamki?

— Nie rozumiem.

No, jak dzielił? Myśmy już przera- biali przez zwykające i dziesiętne. Nie takie znowu trudne. A oni, ci, co dzielił, dobrze byli obkuci w ulamkach?

Nawet bardzo. Tylko w ulamkach.

— Ale twoja mama, chyba, nie dzieliła. Może zapomniała?

— Dajcie mi święty spokój. Sami po- wiedziecie, z czym wam się kojarzy przed- wiośnie.

— Z muzyką i ciastem.

— ?

— Bo się otwiera okna i słychać z gło- sników muzykę. Czasami Dzierżanowskiego, ale najczęściej Irenę Santor. Kasia w niej gustuje, dla niej istnieje tylko ta Elytką Piaffe. Ona to w ogóle: same twisty.

— Teraz już nie, teraz szuka po całej Europie tej bosej nowej. Jeszcze inne dzwiny namawia. Tańczą na każdej przetrwie.

Zapiski reportera

O Karolaku nie pozostało w Białej Górze śladu. Ani wśród dzieci, ani wśród rodziców, ani w ogóle nigdzie we wsi, chociaż ze wszystkimi był za pan brat, jak żaden inny nauczyciel.

Danusia, gdy przyszła tu na miejsce Karolaka, poleciała oczywiście nie miała o tych wszystkich sprawach. W inspektora powiedziano tylko, że na pewno nie będzie jej źle w Białej Górze — grono nauczycielskie zgrane i doświadczone, więc dość uspokojona i światła, nie każda absolwentka ma szczęście trafić na taką pierwszą posadę.

Może nieprawda? Danusia wiedziała, jak trafiały niektóre inne. Jedną z jej koleżanek otrzymała w tel okolicy pracę w szkole pięcioklasowej. Klasa jej mieściła się w małym, starym budynku, dość daleko od szkoły, na końcu wsi. Nauczycielka została sam na sam z czterdzięciorgiem rozbrzykanych dzieciaków, z trudem napędzała je po przerwach na lekcje, z trudem udawało jej się utrzymać na lekcyjach spokój. Na przerwach chłopcy się często bili, matki przychodziły na skargę, oczywiście, do kierownika. Sytuacja uratowała dopiero inspektorka, która zaraz na pierwszej wizytacji zwróciła uwagę, że powierzenie młodej, początkującej nauczycielki klasy w budynku od- dalonym od szkoły jest nonsensem. Błąd naprawiono, łatwo się jednak domyślić, jaka atmosfera wytworzyła się wokół dziewczyny. Było jeszcze kilka innych z tego samego, nie najgorszego przecież liceum, którym już pierwsze miesiące pracy nie oszczędziły rozmaitych pery- petii. Pisały do Danusi: „Ty to masz dobre, wszystko ci się jakoś ułożyło”.

Swoją drogą, co by się właściwie miało Danusi źle układać? Klasa, jak to przeważnie bywa z klasami drugimi, wdrożonymi już lepiej lub gorzej w szkolne tryby, nie sprawiała większych kłopotów. Pewnie i dlatego, że Danusia na dobrą sprawę wychowywaniem dzieci zaczęła się zajmować mając lat sześć, gdy

Pustkowie pełne ludzi

Jerzy Olbrycht

pokoju wielu innych młodych nauczycie- lek: łóżko, pożyczony skądś biurowy stół i dwa krzesła, maszynka elektryczna do gotowania, parę naczyń. Pokój znajdował się na piętrze sporego budynku, zajmo- wanego niegdyś przez służbę hrabiów. Teraz mieszkało tam kilka rodzin pra- cowników niewielkiego PGR, zajmujących się swoimi sprawami i nie interesujących się zbytnio Danusią.

Czym by się zresztą mieli interesować? Przynajmniej na razie nie było czym. Danusia — jak to sama później mawia- ła — znała tylko trzy, a najwyżej cztery, pięć dróg przez wieś. Pierwsza — ma się rozumieć z domu do szkoły, parę kroków tyle co przez park. Druga z domu do sklepu, też przez park tyle, że na skos. Trzecia do państwa Obrebskich, najstar- szych z grona nauczycieli, bezdziejnych, mieszkających ze starszą panią Obrebską w niewielkim, drewnianym domu z we- randą i ogródkiem, również niezbyt dale- ko od Danusi. Czwarta droga — co wie- czora po mleko do Pałysów, nie dalej niż 100 metrów. Piąta wreszcie, rzadko uczęszczana — o czym później!...

Pan Obrebski nieraz żartował: — Nie nudzi się pani, pani Danusiu?

pokoju powiatu, a przy tym wyniosła, pewna siebie i zarozumiiała. Uczyła w starszych klasach przedmiotów ścis- łych — matematyki, fizyki, geometrii, prowadziła też gimnastykę. Uczniowie bali się jej jak ognia. Była przy tym ty- plem nauczyciela, którego wejście w próg klasy ucinia jak brzytwą nie tylko roz- mowy, ale wszelkie szepoty, nawet naj- lepsze szmery.

Taka sama była wobec rodziców i wo- bec wszystkich w Białej Górze, może ty- lko z wyjątkim grona nauczycielskiego, kiedyś, przedstawicieli władzy i niektó- rych dobrych gospodarzy. Ona nie zamy- kała się w obrębie szkoły i domu, nie chadzała też, jak Danusia, kilkoma tylko własnymi ścieżkami. Przez dwa lata po- bytu w Białej Górze wielokrotnie prze- mierziała wieś wzdłuż i wszerz, samozna- nie kontrolując stan sanitarny mieszkań- cych gospodarstw i podwózy, krytykując zaniedbania w gospodarce, w stanie dróg, budynków, w urządzeniu mieszkań, wychowywaniu dzieci, wyszy- dzając wszelkie zacofane poglądy i pre- sądy.

Nie można powiedzieć, żeby całe to jej postępowanie w szkole i poza szko-

ła nie przyniosło żadnych pozytywnych rezultatów. Pod strachem bo- żyym, bo pod strachem uczniowie wyku- wali „na białe” matematykę, geometrię i fizykę i niektórzy potem śpiewając zdaw- iali egzaminy do liceum i technikum. Największe niedorajdy i łamagii wycho- dzili z siebie, aby opanować najtrudniej- sze ćwiczenia gimnastyczne. Chłopi i ko- biety, kinąc w duchu, sprzątały jak nigdy podworka, obory, chlewy i stajnie — na- uczycielki bały się gorzej niż największego karnego mandatu. Ale to też i wszystko, bo poza tym wieś do niczego się nie za- brała, nikt nie zmienił żadnych swoich poglądów, nikomu do głowy nie przysz- ło, żeby coś zdziłać wspólnymi siłami.

Szczerze nie lubili Haliny, ktoś ją na- wet ochrzcił zaczerpniętym z jakiejś książki przezwiskiem, policjant Pana Bo- ga”, ktoś inny „szlachcianką”. Odetchnęła więc gdy Halina wyszła za mąż za zna- nego sportowca i wyjechała z Białej Góry gdzieś na zachód. Wielu, ma się rozumieć, od razu też przestało dbać o siebie o po- rzadek.

Pan Obrebski, gdy żartował, że Danu- sia żyje jak na pustkowiu — tylko szkołą, domem i odwiedzinami u nich, którym zresztą zawsze byli radzi — przypuszczał zapewne, iż dziewczyna rozmyślnie stoni od towarzystwa młodzieży ze wsi. Był to człowiek starej daty, ale z rodzajów tych ludzi starej daty, którzy sumiennie sta- rają się rozumieć dzień dzisiejszy i grunto- wnie rostrząsają zachodzące wokół wy- darzenia, nie kwapiąc się do pochopnych sądów o skomplikowanej rzeczywistości.

Przypuszczając, że Danusia rozmyślnie stoni od towarzystwa młodzieży białogórskiej, pan Obrebski starał się ją zo- rozumieć. Wiedział, że Danusia nie wie o Karolaku, ale nie wykluczał, że dziew- czyna, która zyskała sobie całkiem niezłą markę we wsi, boi się może pójść za so- bie wejście w grono młodych ludzi, na nieznaną grunt, gdzie czyhać może wiele niebezpieczeństw.

Począty pan Obrebski myśli się jednak sądząc, że Danusia w ogóle zdaje sobie sprawę z wszystkich tych problemów i dy- lematów i że cokolwiek czyni tu świadom- ie.

Okazało się to zresztą niedługo, na od- pustowej zabawie, która dała panu Obre- bskiemu aż nadto wiele do myślenia.

(Dalszy ciąg za 2 tygodnie)

Patrz: „Pani Danusia i inni”, „Głos” nr 13 z 24 marca 1963 r.

Pierwsza Wielkanoc wieku atomowego

Wojciech Sulewski

ciach, obowiązani są od każdego „wtrzy- mwanego psa lub szczecięcia bez ro- nicy rasy uiszczać opłatę w ilości jednego ru- bła rocznie”. Po warszawskich kawiarniach i herbaciarniach mówiono powsze- chnie, że właśnie z tych pieniędzy ma uzbie- rać się owe 150 tysięcy rubli, które car Mikolaj II przeznaczył na „rozmaite roz- ryvky higieniczne dla ludu”, jak podkre- ślał z emfazą „Kurier Warszawski”.

Tymczasem wybuchła bomba. Na prze- łomie marca i kwietnia bankrutował nie- spodziewanie bogaty i znany kupiec war- szawski, Rosjanin Teodor Zudin. W ślad za tym posypały się inne bankructwa. Różne prywatne kantory handlowe ztru- dniające dużą ilość pracowników umys- łowych zaczęły przeprowadzać masowe re- dukcje personelu, zwałniając go — zgod- nie z panującymi wówczas stosunkami — z miejsca. Redukcje objęły również pra- cowników Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i kilkunastu różnych banków, które w do- datku przestały wypłacać złozone tam wkłady pieniężne. Przerazona takim obro- tem spraw inteligencja urzędnicza i tech- niczna oraz przedstawiciele wolnych za- wodów zaczęły wycofywać przedsięwzię- cie zamówienia od rzemieślników albo za- łączyć z zapłatą należności. W sklepach zrobiły się pustki. Takie były wyniki gwałtownego zahamowania wywozu zboża i drewna z Królestwa do krajów Europy zachodniej oraz chwilowych zakłóceń na rynkach Cesarstwa Rosyjskiego, które przestały przyjmować łódzkie i tomaszo- wieckie tekstylia, a także warszawskie i lu- belskie maszyny rolnicze, galanterię me- talową i chemikalia.

Ogólne przynębinie i niepokoje, jakie ogarnęły Warszawę na początku kwietnia 1900 roku, znajdowały odbicie w toczą- cych się żywo dyskusjach. Przedmiotem ich była teraz... sprawa niebezpieczeństwa chorób nerwowych, które — jak przypu- szczali niektórzy — miały w ciągu XX wieku

drogą wodną — wrzucając do rzeki, sple- nionej wiośnianym przyborem. O rzywca- ju topienia Marzanny wspomina już Du- gosz, językownawcy wywodzą jej imię od czasownika „mrzeć”. Znana była także Marzanna i na Czechach, Morawach, na- że górale podhalafscy mieli swoją „kukie”, a na Śląsku, gdzie ten zwyczaj najdłu- że przetrwał, przebieierała się za Marzannę dzikiewczyna i obchodzili wieś z „galkiem- maikiem”. Dziewczyny już, oczywiście, nie topiono, bo odkąd to młode panny są sym- bolem zimy?

W kilka miesięcy po świętach zaczęła się poprawiać sytuacja gospodarstwa Kró- lestwa, ale uwyraźne polepszenie nastąpiło dopiero od zimy. Ludzie długo jednak wspominali trudne, pozostające pod zna- kiem depresji gospodarczej Święta Wiel- kanocne 1900 roku, pierwszego w naszym stuleciu.

Zwyczajne wielkanocne

WIELKANOC i cały ten kwietniowo- majowy okres — to nie tylko

„Polubiłam zawód nauczycielski”

WCZESNA wiosna na terenie całej Polski zjawiają się w szkołach podstawowych praktykanci — uczniowie klas piątych liceów pedagogicznych i słuchacze drugiego roku SN.

Przychodzą... jedni z odwagą, inni z obawami i niepokojem do obcego środowiska, do nieznanych ludzi, których pierwszy raz w życiu widzą, a którzy mają ich pracę pokierować, zaopiekować się nimi i wreszcie ich wyszkolić.

Trochę różniocowana jest ta praktyka w terenie nie tylko pod względem organizacji i treści, ale również i finansowo (za praktykę organizowaną dla SN kierownik praktyki w przydzielonej szkole otrzymuje wynagrodzenie). Wiedzą o tym władze szkolne, wiedzą kierownicy szkół, nauczyciele, ale jednakowo serdecznie przyjmują i tych z SN, i tych z liceum pedagogicznego.

W pisanych anonimowo sprawozdaniach z praktyki — ileż dobrych słów o tych nauczycielach wypowiada młodzież.

„Teraz dopiero zrozumiałam, że lubię zawód nauczycielski”. Po odbyciu praktyki stwierdziłam, że w żadnym innym zawodzie nie chciałabym pracować. „Wiem, że polubiłam dzieci i one mnie też polubiły”.

Kiedy zwracam się z pytaniem, do której szkoły oprócz zwykłego, urzędowego należy składować poszczególne podlegające na opiekę, troskę, to wówczas prawie wszystkie ręce podnoszą się do góry, bo właśnie tam gdzie oni byli, to zarówno z strony pana kierownika, jak i poszczególnych członków grona nauczycielskiego było tej troski i opieki o wiele, wiele więcej, niż tego wymaga zwykły, urzędowy stosunek. I jakoś dziwnie się czuję, gdy obserwuję tych kilku, którzy nie biorą udziału w tym ogólnym porwie wdzięczności, bo już w swojej pierwszej próbie pracy zawodowej nie spotkali się z ludzką życzliwością (a może to i ich wina).

Życzliwość — nie znaczy pobłażliwość w wymaganiach i ocenie praktyki. Bo jeśli wszyscy praktykantów przedstawia oceny bardzo dobre w swoich indeksach po

praktyce, to czy nie jest to przypadkiem pobłażliwość? Albo jeśli dwu czy trzech praktykantów zdecydowanie różniących się poziomem wiadomości, umiejętnościami, zdolnościami, stosunkiem do pracy otrzymują identyczne opinie, to czy nie jest to ze strony opiekunów praktyki bagatelizowanie?

I jeśli pierwsza, druga, piąta i dziesiąta ocena pracy praktykanta jest bardzo dobra, to każdy z nas jest zadowolony, ale jeśli i dwudziesta, i czterdziesta, i osiemdziesiąta? Wówczas myślę: „Traktują praktykantów pobłażliwie”.

Nie wiem czy wszyscy nauczyciele zdają sobie sprawę, jak wielkim autorytetem są dla praktykantów?

Bo właśnie nauczyciele, z praktyki! są dla nich prawdziwymi nauczycielami na co dzień i ich szkoła jest dla nich prawdziwą, zwiastującą szkołą, w której za kilka miesięcy będą pracować. Być dla kogoś autorytetem — to duże zadolenie, ale to również mocno zobowiązanie.

Wiem, że codzienną pracę nauczyciela cechuje poszanowanie dziecka i życzliwość dla niego, i może to właśnie jest źródłem zadowolenia i optymizmu młodzieży wracającej z praktyki. I jeśli kandydat w czasie pobytu na praktyce usłyszy przypadkiem nieopatrznie wypowiedziane słowa: „To, czego uczą was w liceum, to tylko teoria, w praktyce wygląda to całkiem inaczej” — to takim stwierdzeniem nie krzywdzi się zakładów kształcenia nauczycieli, ale tego młodego człowieka, u którego gasi się jego pierwszy zapal i jak najlepsze chęci.

Stwierdzając, że praktyka odbiega od teoretycznych założeń, przynajmniej się tym samym do naszej słabości, nieumiejętności sprostać założeniom współczesnej pedagogiki, a może konserwatyzm i rutynę.

Chcielibyśmy, aby nasi uczniowie przywozili ze szkół w terenie wzory pięknych lekcji właściwego stosunku do dziecka. Wspomnienia miłej atmosfery w szkole, wzorowe przykłady trudnej, mozolnej, ale pożytecznej pracy.

HELENA METEROWA
Lublin

Moje wrażenia

MARZEC się skończył, a z nim i moja praktyka w jednej ze szkół krajoznawczych. Ponieważ nie obfitowała ona w same sukcesy, dlatego pragnę zwrócić uwagę na miłusy i wykazać ich źródło.

Praktyka ta, jest moim drugim z kolei reżymem się z obcym terenem. Pierwsza — dawała większe możliwości samego „starcia się” o szkołę, ta druga — pozwoliła na pełne (przy zachowaniu przeciwnym dniu pracy nauczyciela) poznanie trudności i rezultatów pracy nauczycielskiej. Osiągnięcia nie są może w tej chwili widoczne, za to trudności ujawniają się same. Do nich należało przede wszystkim utrzymanie karności na lekcji.

Prowadziłam lekcje sama lub w obecności nauczyciela odpowiedzialnego za dany przedmiot w klasie. Jeżeli w tylnych ławkach siedział pan lub pani, był względny spokój, otrzymywałam w miarę poprawne odpowiedzi, słowem — coś się działo na lekcji. Natomiast jeżeli byłam sama lub z drugą hospitującą lekcję kończyłam, nie potrafiłam utrzymać uwagi klasy. Spotykałam się z ignorowaniem nie tylko mnie, ale i przedmiotu, nie było mowy o rozwinięciu tematu, o zainteresowaniu uczniów. Nie należało do rzadkości froganckie, butne odpowiedzi zaczepnie wygłaszane.

Czasami byłam bezradna, nie wiedziałam, jak reagować, co powiedzieć, żeby nie narazić na śmieszność. Powstał dla mnie problem: dlaczego uczeń w obecności nauczyciela zachowuje się poprawnie, a przy mnie wręcz odwrotnie? Nie nauczyłam nas w Studium Nauczycielskim, jak należy postępować w najcięższych — rzutujących na nasz autorytet — sytuacjach. Uważam to za poważny błąd.

Przygotowanie moje do lekcji praktycznych odbywało się przy wydatnej pomocy nauczycieli. Na nic nie zdało się — tak bardzo egzekwowane w SN — opanowanie programu, umiejętność rozplanowania to-

ku lekcyjnego. Aby nie być gołosłowną, poproszę swą stwierdzenie faktami. Miałam przygotować cykl lekcji z „Janka Muzykanta”. Oczywiście, program klasy piątej znam, lekturę także, wiem, co powinno być na podstawie tekstu zrobione, że fabuła, że główne wydarzenia, że opis postaci Janka itd., ale konkretnie nie potrafię się do tego zabrać. Koncepcja mojej lekcji jest nieudolna, dopiero wydatna pomoc nauczycielskiej ratuje sytuację — zadawają się — bez wyjścia, pozwala na rozplanowanie poszczególnych jednostek tematycznych.

To może świadczyć, że lekcji praktycznych na SN jest za mało.

Jedynym terenem, z którym spotykamy się na co dzień, jest Szkoła Ćwiczeń. W efekcie, każdy student przeprowadza jedną lekcję w semestrze (nie licząc hospitacji). Poza tym każda, hospitowana przez nas lekcja jest prowadzona w Szkole Ćwiczeń w innych odmiennych warunkach niż w normalnej szkole.

Sama obecność 30 osób usposabia dzieci do pracy. Tam nie ma mowy w czasie lekcji o upominaniu, wytykaniu na odpowiedź. To jest szkoła, którą należy i trzeba podziwiać jako wzór dobrej i mądrze prowadzonej pracy pedagogicznej.

Lecje pogładowe urządzane dla nas w szkole ćwiczeń daly podstawowy schemat, według którego usiłowałam w czasie obecnej praktyki stwarzać jednostki toku lekcyjnego, ale oczywiście ten schemat nie rozwiązał wszystkich zagadnień tematycznych, bo niektóre w swej prostocie są trudnym zadaniem szaradowym.

Uważam, że świetnym posunięciem byłoby stworzenie praktyk tygodniowych w każdym miesiącu i po opracowaniu jakiegoś zagadnienia z zakresu metodyki klas starszych i młodszych natychmiastowe przeprowadzenie tego na konkretnych lekcjach.

ZULA HRYNEK
Kraków

Na koloniach

DLA przygotowania przyszłego nauczyciela do pracy nie wystarczy tylko tradycyjna praktyka w szkole. Jak najbardziej słuszne jest zarządzanie Ministerstwa oświaty z dnia 30 maja 1962 roku, rozszerzające praktykę pedagogiczną o nową formę, dotychczas nie stosowaną — pracę w placówkach dziecięcych czasów letnich. Jest to forma, na którą niewątpliwie należy zwrócić większą uwagę, tym bardziej, że w ubiegłym roku praktyki te nie wypadły zbyt dobrze.

Np. uczennica J. W. pisze: „Po wielu targach, dla „świętego spokoju” dał mi pan X skierowanie na półkolonię do miejscowości B. Warunki były tam bardzo trudne, nie miałam kolacji i wyżywienia w niedzielę, trudno było o wodę”.

Uczennica B. P. podaje: „Kierownik proponował mi samodzielne prowadzenie grupy, na co nie zgodziłam się... Kiedy wychowawczy mojej grupy zachorował, musiałam podjąć pracę samodzielną. Miałam wiele trudności. Z chwilą gdy wychowawczy wrócił powierza mi nie wiele pracy. Kierownik nie interesował się zbytnio pracą wychowawczą. W dalszych swoich uwagach uczennica B. P. skarży się na brak pomocy ze strony personelu pedagogicznego, nadmierną, że praca pozostawiona była jej własnej inicjatywie, że nigdy nie brała udziału w posiedzeniach rady pedagogicznej, a nawet weale o nich nie wiedziała.

Porównując przykłady jest więcej, lecz nie chodzi tu o ich mnożenie. Chodzi tu raczej o zasygnalizowanie, że zorganizowana praktyka pedagogiczna nie stwarza warunków umożliwiających zdobywanie doświadczenia i nie wpływa na wzrost zamiłowania dla zawodu nauczycielskiego. Uważam, że warunkiem powodzenia praktyki pedagogicznej jest zainteresowanie uczniów sprawami wychowawczymi

STANISŁAW SZYMANOWSKI

W EŻ makę, dodać soli, użyj zakwasu lub drożdży, zarób to wszystko z wodą i wiódz do pieca, a otrzymasz chleb...

Tak, w uproszczony sposób brzmiałaby recepta na wypiek chleba. Ale łatwo powiedzieć: otrzymasz chleb. Pytanie: jaki? Chleb bowiem chlebowi nie równy. A chciałoby się przecież dać jak najsmaczniejszy. Ale żeby zrobić dobry chleb, trzeba się uczyć. Wiedzę tę przekazują specjalne szkoły. Jedną z nich znajduje się w Bydgoszczy — Technikum i Zasadnicza Szkoła Zawodowa Przemysłu Spożywczego.

W tej chwili kształcą się tam 430 uczniów, którzy zdobywają kwalifikacje technika — technologia przemysłu piekarniczego i cukrowniczego oraz piekarską i cukierniczą. Do tej pory, od 1946 roku, mury szkoły opuściło 1270 absolwentów, którzy zasilili kadry przemysłu spożywczego 8 województw w kraju, gdyż taki jest zasięg szkoły.

O przydatność w pracy absolwentów Technikum i ZSZ „świadczą” pochlebne opinie nagrywające z wielu zakładów. I nie w tym dziwnego, bowiem szkoła pracuje „na medal”.

Fakt, że około 90 proc. kadry pedagogicznej wykładowej przedmioty teoretyczne posiada wyższe wykształcenie — mówi sam za siebie. Wysokimi kwalifikacjami legitymuje się również kadra inżyniersko-techniczna, kierująca szkolnymi zakładami szkoleniowymi — jednym cukierniczym i dwoma piekarniczymi.

Oprócz zakładów szkoleniowych i licznych pracowni przedmiotowych, dumą szkoły jest własne laboratorium chemiczno-technologiczne z mikropiekarnią produkcyjną. Laboratorium to umożliwia młodzieży praktyczne zapoznanie się z najnowszymi metodami badań surowców i produktów stosowanych w przemyśle piekarniczym, słowem — z całym procesem technologicznym wypieku wszelkiego pieczywa. Ambicją kierownika laboratorium, mgr inż. K. Sankiewicz i jego współpracowników inż. R. Szymańskiego (dyrektora Technikum) — jest wyjść także poza oploty szkoły, „chwycić” wszelkie nowinki techniczne i wprowadzać je na bieżąco.

Tak zwany systemem gospodarczym, laboratorium wzbogaciło się o taką aparaturę, jak suszarka promieni podczerw-

Taka sobie szkoła

nych służąca do oznaczania wilgotności mąki, farinatomy do badania szklistości ziarna pszenicy (stwierdzanie zawartości białka), aparat do badania zawartości glutenu w mące (białka mąki) itp.

Poważnym osiągnięciem laboratorium było zbudowanie, jednej z nielicznych w kraju, mikropiekarni dla celów doświadczalnych. W piekarni tej opracowano metodę wypieku „lilipucich” chlebków o wadze 1 dkg. Jest to bardzo przydatna metoda dla staćli hodowli roślin, które dysponują małymi ilościami ziarna doświadczalnego (maki), i gdzie zachodzi konieczność każdorazowego sprawdzania właściwości wypiekowych.

Wszystkie osiągnięcia techniczne i technologiczne są, oczywiście, dostępne dla młodzieży, która po wyjściu ze szkoły jest „oblatana” w technologii produkcji, w metodach kontroli surowców i wyrobów gotowych przemysłu piekarniczego.

Laboratorium opracowuje też niektóre metody kontroli jakościowej pieczywa, przeprowadza szkolenie pracowników przemysłu piekarniczego, produkuje nawet dla tego przemysłu nowe aparaty pomiarowo-kontrolne. O randze laboratorium świadczy również jego wieloletnie powiązanie z Wyższą Szkołą Rolniczą w Poznaniu — Katedrą Technologii Zboż. Z WSR szkoła otrzymuje aparaturę laboratoryjną, katedra szkoły i dokształca personel pedagogiczny szkoły. Kierownik Katedry Technologii Zboż WSR w Poznaniu — prof. dr inż. Stanisław Jankowski zawsze służy szkole radą i pomocą. Na szczególne podkreślenie zasługuje współpraca szkoły, a zwłaszcza laboratorium szkolnego z Zakładem Badawczym Przemysłu Piekarniczego Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Mgr inż. Sankiewicz i inż. Szymański są stałymi członkami tego Zakładu i uczestniczą w sesjach naukowych i naradach specjalistycznych.

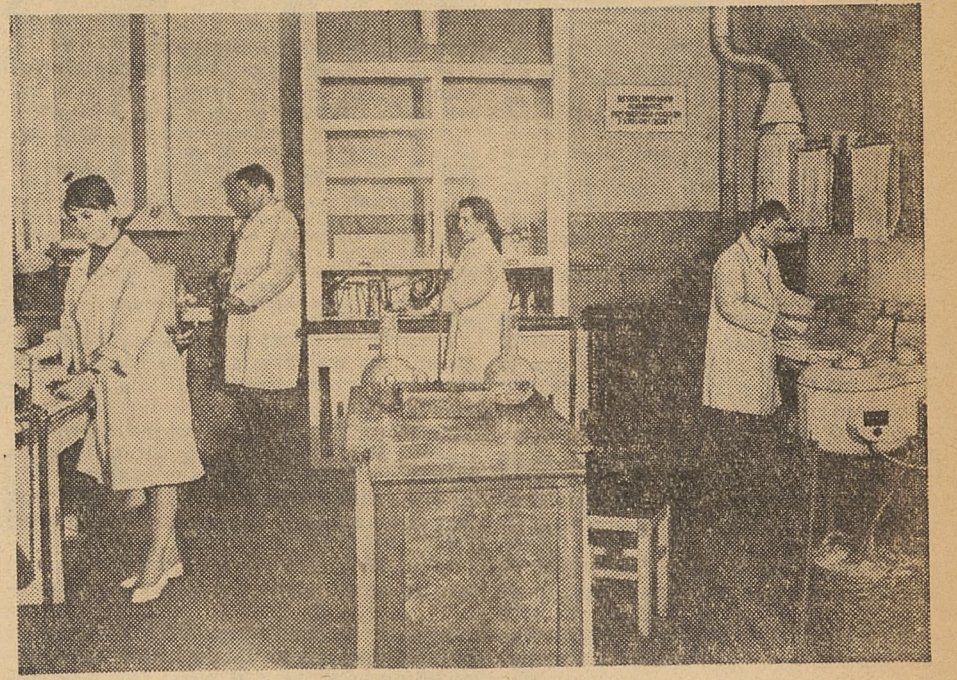
A teraz przyszedł czas na rodzynki do tego „chleba”... Otóż wynikiem współpracy

szkoły z WSR w Poznaniu i Zakładem Badawczym MHW — było skonstruowanie nowoczesnego aparatu pomiarowo-kontrolnego, służącego do badania właściwości wypiekowych mąki. Jest to duże osiągnięcie w naszym przemyśle piekarniczym, bowiem zastosowanie tego aparatu pozwala szczególnie określić właściwości wypiekowe mąki, co ma duże znaczenie w masowej produkcji chleba. Ten „antyimportowy” przyrząd został samodzielnie skonstruowany w szkolnym laboratorium, przy użyciu wyłącznie krajowych części. Przy opracowywaniu prototypu, oprócz mra Sankowskiego i inż. Szymańskiego, brał

udział także inż. K. Wojtyna z Bydgoskich zakładów cukierniczych „Jutrzenka”. Aparat, po zatwierdzeniu go przez zespół rzeczowników MHW, znalazł producenta, którym będzie jeden z bydgoskich zakładów pracy.

Jak widać, to skromne laboratorium szkolne służy bardzo dobrze nie tylko szkolnictwu, oświacie, ale także wydatnie przemysłowi. I to jest chyba wymowny przykład realizacji tego, o czym mówi się w uchwałach partii i rządu: związku szkoły z życiem, śledzenia postępu technicznego. Wychodzi to na zdrowie i szkole, i nauczaniu, i bezpośrednio gospodarce narodowej. Urzeczywistnia się to w „takiej sobie szkole”, która boryka się również z trudnościami lokalowymi i której sukcesy na pewno nie przychodzą łatwo.

JAROSŁAW MNISZEK
Bydgoszcz



Fragment laboratorium. Uczennice i uczniowie Technikum Przemysłu Spożywczego podczas zajęć laboratoryjnych

uważali tylko gimnazjum, w jakimś tam stopniu przyczynia się do wytworzenia w P. pewnego kompleksu. Przejawiał się on przede wszystkim w lekceważącym stosunku do wszystkich, z czym przyszło mi się spotkać w technikum. Lekceważeniem tym objął nauczycieli, kolegów i wiedzę, którą miał posiadać. Wyniki nie dały na siebie czekać. Tylko dzięki swej inteligencji i wskutek ostatecznego zrywu akurata w porze kwitnienia kasztanów, zdołał dotrzymać kroku kolegom i uzyskać promocję do następnej klasy. W następnej było już gorzej. Ten sam stosunek do

trudności. Rozumiemy się z synem doskonale.

— Czy pani wiadomo, że syn wagaruje? — Wiem, ale on już tego więcej nie zrobi. Przecież mi. To wszystko wina kolegów. Pan rozumie, to dziecko jeszcze i każdy na niego ma wpływ. A jeszcze taka młodzież, jak tu... On właśnie mi przetrzeł, że to było już po raz ostatni...

— A czy powiedział pani, że i dziś nie był w szkole na dwóch ostatnich lekcjach i że nie zwołał się u mnie? A przecież zapowiedziałam chłopcom, że gdy jestem w szkole, zastrzegam sobie prawo do oso-

ży, a troskę o zdrowie dziecka niech już zostawi rodzicom.

Dalsza dyskusja na ten temat byłaby jałowa. Wyłuszczyłem więc tylko na zakończenie tej rozmowy nasze abawy, co do tego, czy J. przejdzie do następnej klasy, jeżeli jego stosunek do nauki nadal będzie taki, jak dotychczas, oraz zaapelowałem do matki o ściślejszą współpracę ze szkołą nad zdobyciem syna do systematycznej nauki.

Obrażona, bez słowa sprzeciwu, czy też potwierdzenia, z podniesioną dumą — „Głowa” — wyszła mruknąwszy coś niezrozumiałe.

Są jednak i tacy rodzice, których nauczyciel nie zna osobicie i to nie ze swej winy. Młodzież w szkole, w której uczy, pochodzi zasadniczo z całej Polski. Ołbrzymie odległości nie pozwalają na osobisty, przynajmniej raz w roku, kontakt ze szkołą. Jeśli chłopiec uczy się znośnie i nie przyczynia trudności wychowawczym, rzadko koresponduje się z rodzicami. A szkoła! Nie powinniśmy przecież powiadać domu rodzinnemu tylko o niepowodzeniach syna w szkole. Jakoś listy pochwalne do rodziców należą do rzadkości. A można przecież sobie wyobrazić, ile radości sprawiby tego rodzaju listy w domu.

Młodzież szkół zawodowych rekrutuje się z różnych środowisk społecznych. Szczególnie uczniowie ZSZ na szczeblu powiatu. Tu z zasady uczęszczają synowie chłopów i robotników. Nigdy nie udało mi się spotkać w takiej szkole syna lekarza, sędziego. Co najwyżej nauczyciela, a i to rzadko. W takiej więc szkole istnieje niewykorzystane możliwości do pracy wychowawczej. Rzadka w zasadzie ingerencja domu w sprawy związane z dzieckiem przyczynia się niewątpliwie do nadania procesowi dydaktyczno-wychowawczemu jednokierunkowości.

Od dalszych wniosków chyba się wstrzymam. Niech rodzice, którzy postępują na wzór wymienionych powyżej, zastanowią się dobrze nad tym. Takie zastanowienie się jest czasami konieczne dla dobra samych rodziców, nie mówiąc już o ich dzieciach.

KAZIMIERZ GÓRAWSKI
Krosno

Jak wychowujemy?

nauki i do otoczenia dawał opiakane rezultaty. Zmobilizowani rodzice zdołali jednak i tym razem wspólnie z nauczycielami „przepchać” syna do III klasy, tylko z jedną poprawką. Teraz już zaległości w opowaniu materiału dała o sobie znać na każdym kroku. J. coraz częściej wagaruje. Po wielokrotnych próbach udało mi się wreszcie skontaktować z matką ucznia.

Niech pan, w przyszłości, stałe kontakty się tylko ze mną — stwierdziła wstępnie. Mój maż nie nadaje się do kierowania wychowaniem syna. To despotka. Za ostrą. Wydaje mu się, że wychowywać, to tyle co mustrować. Bo chłopca trzeba inaczej, z sercem... Syn mi zawsze o wszystkim mówi. I nie okłamuje nigdy. W ogóle nie rozumiem, jak wy możecie tu mieć z nim tyle kłopotu, skoro ja w domu nie mam z nim nigdy żadnych

bistego zwalniania uczniów z lekcji w razie koniecznej potrzeby.

Mała konsternacja.

— Tak... To niedyspozycja... Wspominał mi o tym...

Mówię więc dalej, że takich niedyspozycji miał już w tym roku szkolnym, na przestrzeni tylko ostatnich trzech tygodni, aż pięć. Ciekawe jednak, że zawsze zbiegały się one z lekcjami matematyki. Matka wystawiała za każdym razem synowi usprawiedliwienie. Na propozycję, ażeby syn został dokładnie zbadany przez lekarza szkolnego, względnie skierowany na badania specjalistyczne, matka pokrasniała na twarzy i ze świetnym oburzeniem stwierdziła: — My mamy przyjaciela domu, lekarza i jeśli udamy to za konieczne, sami zdecydujemy o dalszym leczeniu syna. I niech szkoła robi, co do niej nale-

Zasadnicza Szkoła Górnicza Kopalni Węgla Kamiennego
„Nowa Ruda” w Nowej Rudzie, ul. Stara Droga nr 4, tel. 372

zatrudni
z dniem 1. 9. 1963 r.

NAUCZYCIELI ze średnim i wyższym wykształceniem na stanowiskach: a) nauczycieli górniczych — maszyn górniczych — rysunku zawodowego i matematyki b) nauczycieli zawodu — elektrotechniki — ślusarstwa — stolarskiego i górnictwa; c) nauczycieli języka rosyjskiego i historii; d) nauczyciela śpiewu i muzyki.

Warunki pracy i płacy do omówienia na miejscu. Zgłoszenia pisemne kierować pod adresem SZKOŁY.

Dyrekcja TECHNIKUM EKONOMICZNEGO i ZASADNICZEJ SZKOŁY HANDLOWEJ w SOŚNOWCU,
ul. Gen. Świerczewskiego nr 44

zatrudni
z dniem 1 kwietnia 1963 r.

NAUCZYCIELA GEOGRAFII

Dyrekcja PAŃSTWOWEGO TECHNIKUM ROLNICZEGO w Złotowie

ZATRUDNI
z dniem 1 września 1963 r.

NAUCZYCIELA języka polskiego i historii

Posiadająca umiejętność prowadzenia zajęć świetlicowych. Mieszkanie zapewnione.

UWAGA! Kierownicy Szkół, Komitety Rodzicielskie UWAGA!

TARCZE SZKOLNE do mundurków
NA FILCU Z PLASTIKIEM (ESTETYCZNE WYKONANIE)
w cenie: 3.50 i 4.15 (za sztukę) — produkuje Spółdzielnia „INTROGRAFIA” WYKONUJE RÓWNIEŻ:

— SZTANDARY — PROPORCE — EMBLEMATY — ODZNAKI — KSIĘGI PAMIĄTKOWE — GODŁA PAŃSTWOWE ITP. — ARTYKUŁY DLA DRUŻYN HARCERSKICH, KLUBÓW SPORTOWYCH I ZRZESZEŃ

Zamówienia należy kierować pod adresem: SPÓŁDZIELNIA ARTYSTYCZNA WYDAWNICZO — INTROLIGATORSKA „INTROGRAFIA” — Zakład nr 5 — Warszawa, ul. Rakowiecka nr 17, tel. 25—22—12

Biura Zarządu Spółdzielni, Warszawa, ul. Kopernika nr 4, tel. 6—17—79

Odpowiedzi redakcji

E. Z. — Lublin. „O nowa forma konferencji rejonowych” nie pójdzcie. Formy, o których piszecie są dość znane, na wielu konferencjach już dawno je stosują.

St. J. — Warszawa. Z artykułu na temat korekty reżymu. Problem jest bardzo ważny, wymaga gruntownego przeanalizowania i zajęcia stanowiska. Wasz postulat, by ZNP „wziął go na warsztat” jest słuszny i właśnie obecnie Zarząd Główny problem ten rozważa.

J. Krauze — Myślenice. Artykuł przekazał redakcji „Szkół Zawodowej”, gdyż uważa, że Wasze są poszerzeniem i pogłębieniem artykułu, który na ten temat ukazał się właśnie w „Szkole Zawodowej”.

M. B. — Słupsk. Nie chcemy się powtarzać. O identycznym przebiegu spotkania ognisk już pisałyśmy. System stosowany na Waszych konferencjach nie jest nowy. Podawał go w jednym z numerów „Głosu” kol. Piorkowski ze Złotoryi. Druga informacja o spotkaniu z ogniskiem szkół zawodowych w Bydgoszczy również nie wnosi nic nowego. O takich spotkaniach pisałyśmy. Interesują nas takie formy pracy, które byłyby zachętą do korzystania z nich dla ożywienia pracy ognisk.

Cz. S. — Żywiec. Spotrzeżenia Wasze są słuszne, niestety w wielu jezycie ogniskach stwierdzamy taki sam stan rzeczy, jak w ognisku P. Uwagi Wasze wykorzystamy w jednym z numerów „Głosu”. Dziękujemy.

J. J. — Jedrzeń. Nadesłany materiał zamieścimy. Albo będziemy dawali go w jednym spotkaniu w każdym numerze, albo w 2 — 3 numerach. Z redakcją „Chłopskiej Drogi” skontaktujemy się i może uda się ten numer wydostać i przesłać Wam. Za życzenia dziękujemy.

Ogłoszenia drobne

ZAMIANIE etat szkoły podstawowej w Zglez — mieszkanie, wygodny, przystanek tramwajowy na miejscu, 25 minut do centrum Łodzi — na etat, mieszkanie w Lublinie lub okolicy — Zamościu, Puławach. Zgłoszenia: Gzierz, skrytka 31.

ESPERANTO umożliwia nawiązywanie przyjacielskich kontaktów korespondencyjnych — indywidualnych i międzyzwiązkowych z całym światem już po kilkumiesięcznej przerwie korespondencyjnej. Informacje o kursach KRS rozsypanych wysłać na żądanie Polskiej Związku Esperantystów, Warszawa, Nowy Świat nr 27/4.

ZESPÓŁ Szkół Gospodarczych CRS w Pile, ul. Sikorskiego nr 73, zatrudni w roku szkolnym 1963/64 nauczycieli: fizyki, języka polskiego, matematyki, wychowania fizycznego, nauczycielkę zawodu i wychowawczynię w internacie.

EKONOMISTE oraz **NAUCZYCIELA FIZYKI** z wykształceniem wyższym w danej specjalności, zatrudni z dniem 1 września 1963 r. — TECHNIKUM EKONOMICZNE w Makowie Maz., ul. Bazar. Zgłoszenia przysłać Dyrektora Szkoły. Warunki pracy i płacy — dobre. Mieszkanie zapewnione. Dyrekcja zastrzega sobie prawo wyboru kandydatów.

ZAMIANIE pokój — używalność kuchni (w lipcu) na podobny nad morzem, Chorążkiwiec, Kłódzko — Jasna nr 8.

WYKONUJE sygnalizacyjne zegary szkolne: Stanisław Forys, zegarmistrz, Bielsko — Biala, Dzierżyskiego nr 39.

DZWKONKI szkolne elektryczne, korytarzowe, podwórzowe — naprawa, wykonuje na zamówienie warsztat Rzemieślniczy Banasik, Katowice — Szopieniec, Sienkiewicza nr 2.

ZGUBIONO legitymację służbową, wydaną w Nowym Targu na nazwisko Stanisława Smiejskiego.

ZGUBIONO świadectwo dojrzałości, wydane przez Liceum Pedagogiczne w Tarnowie na nazwisko Danuta Smoleń.

POLECA Jednoroczną, dwu, trzy i czterolletnią kręwy morwy, cena od 0.50 zł — 3 zł za sztukę oraz porce po 50 zł nasion morwy — Szkoła Morwowa Józefa Orzania, Ferdynandów, p-ta Peczniw, pow. Poddębice.

